

Wiadomości Polskie

THE POLISH NEWS WEEKLY

POLITYCZNE I LITERACKIE TYGODNIK

W NUMERZE:

Ksawery Pruszyński: Zaprosimy wszystkich.
Ryszard Wraga: Teoria i praktyka rewolucji „w jednym państwie”.
Zygmunt Nowakowski: Wieczory pod lipą (brytyjską). Krótka historia Polski dla młodzieży angielskiej. Banderia Prutenorum.
Arkady Fiedler: Na wozie i pod podwoziem. Z cyklu „Dywizjon 303”.
Adam Pragier: Błędy Jona Evansa.
Antoni Bogusławski: Kobiety Weyssenhoffa.
Ryszard Feliks Topolski: Zbieg Grabowski.
Dziarsz kleski.
Helena Heinsdorf: Zza kul osi.
Camera obscura. Korespondencja.
Artykuły polskie w prasie brytyjskiej i o Polsce.
Dom marynarza w Leith.
Skarbnica Polska.
Wspazjan Kochowski: Wiosna.
Adam Mickiewicz: Trzech Budrysów.
Szymon Askenazy: O woli narodowej.
Bohdan Zaleski: Dąb namagliny.
Gustaw Danilowski: Topola.

ROK II — NR. 46 (88) — LONDYN
NIEDZIELA 16 LISTOPADA 1941

REDAKCJA

229/231, HIGH HOLBORN, LONDON, W.G.1
Telefon: CHANCERY 6128

ADMINISTRACJA

9, NEW OXFORD ST., LONDON, W.C.1
Telefon: HOLBORN 0868

PRENUMERATA

kwartalnie

w Anglii 9s. 9d.
w innych krajach \$2.25

Prosimy o przekazywanie należności za prenumeratę czekiem lub „Postal Order” na zlecenie:

M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

ZAPROSIMY WSZYSTKICH

— Czuć wiosną — oznajmił rano sierżant Krysta, pociągawszy odpowiednio nosem. — Zresztą wyglądają już pierwszaki spod śniegu. Niedługo przylecą ptaki z ciepłych krajów...

Będąc z wykształcenia nauczycielem gimnazjalnym przyrody, dziś ochotnikiem w wojsku polskiem, zawsze zbliżał zjawiska natury z wszelkimi innymi wydarzeniami.

— Będzie więcej błota, cholera — zaklął pesymistycznie do wszelkich nowości usposobiony jego sąsiad w tym samym baraku, starszy strzelec Kowalski, ongi taksówkarz z Poznania, który spod Niemców przedzielił się do wojska.

— To już druga wiosna poza Polską... — zamyślił się smętnie siedemnastoletni strzelec Rohoyski, który przyszedł tu ze szkół w Polsce; jego ojciec, wybitny profesor medycyny na uniwersytecie w Wilnie, właściciel niewielkiego majątku ziemskiego, został wywieziony przez Rosjan w głąb stepów Kazachstanu i zatrudniony jako poganianiec wielbłądów.

— Tak, tak, — przytwardził mu chórem, — może zato bliżej już nam do Polski...
— Istotnie, tego dnia był pierwszy podmuch ciepły, i wiosna zapachniała na całym wybrzeżu. Aż przyjemnie było dnia tego iść na służbę do przemarzniętych piłboxów nad morzem, wyglądać czy tam Göring i admirał Raeder nie zakradają się chyłkiem, jak lisy do kurnika. A strzelcy dnia tego chodzili jacyś podnieceni i rozmarzeni.

— O, wiosna idzie — spostrzegł się pod wieczór major; — reumatyzm zaczyna mnie łamać, a to znak niezawodny.
— Także zasiał senny i zamyślny.

O tej właśnie porze siedzieli wszyscy w plutonie w baraku blaszanym, ale rozmowy się nie kleiły. Nie chiano grać w karty, a nawet zamknięte radio — despekt, który rzadko spotykał gadatliwie dary dobrej lady Warendor.

Wysłała nowa gazетка obozowa; także nie chiano czytać. Przyszedł numer londyńskiego polskiego pisma zaledwie z pięcioma przemówieniami oficjalnymi; nie chiano. Ktoś przyniósł numer polskiego pisma literackiego, gdzie nie było żadnej polemiki; nie chiano. Ktoś zaproponował niedzielny numer gazety angielskiej, w której był artykuł Wellsa nie wymyślający ani papieżowi, ani Polakom; ale i to nie wywołało niczyjzego zainteresowania.

— O czym myślisz? — zagadnął sierżant Krysta młodzika Rohoyskiego: — jako były nauczyciel gimnazjalny czuł zawsze potrzebę roztaczania opieki nad najmłodszym strzelcem plutonu.

— Ja? — powiedział Rohoyski — ja? Ja nie, tak sobie myślałem, ech, to takie głupstwa... Ale ktoś tam dziś tak mówił, że ta wiosna, co nadchodzi, do Polski nas jednak zbliża. I ja sobie tak myślałem, jak to będzie w Polsce i co najpierw zrobicie...
— Ciekawa myśl — pochwalił profesor gimnazjalny. — No, koleczy, pomyślny i my wszyscy; co toby zrobił i co zrobi, wróciwszy do siebie, do kraju, do domu? Pięć minut czasu, a potem każdy niech odpowie.

Przy rdzawem światełku niewielkich naftowych lamp, barak pograżył się w zupełne milczenie.

— Pięć minut, — oznajmił ex-nauczyciel przyrody z Gdyni, — proszę pokolecie odpowiadać...
— Ja — powiedział Kowalski — kupię sobie nową taksówkę, ale angielską. Taką jakie są w Edynburgu. Widziałeś? Doskonałe.

— Ja — powiedział Bochniak — skończę rękopis mojej pracy o wpływach Horacego na polskich poetów odrodzenia... Myślę że mi ja matka przechowała, bo dom w Warszawie nie runął...
(Jak tyli inni żołnierzy polskich, miał ukończone wyższe studia).

— Ja — powiedział Rohoyski — odbuduję nasz dom na wsi, rozebrany przez bolszewików, rzekomo pod pretekstem zbudowania z jego cegieł szpitala ludowego.

— Ja — oznajmił Burkat — urzęnie się. — Każdy, jak widzimy, zrobi to na co go stać — zauważył w tym miejscu bezstronnie ex-nauczyciel przyrody. — Ale odpowiedź kolegi Burkata nie wydaje mi się dostatecznie wyczerpująca. Urząnić, to każdy się urzęnie owego radosnego dnia...
— Ale tego dnia szczególnie — podkreślał ważność swej decyzji Burkat. — Zwłaszcza że, jak słyszałem, wódka pod

okupacją niemiecką bardzo potaniała. Tylko nie wiem czy to prawda?

— Prawda, — rzekł Krysta, — bo Niemcy, dążąc do rozparcia ludności polskiej, zarzucili dawną politykę polskich rządów, polegającą na prohibicyjnie wysokich cenach alkoholu...

— To dobrze, — ucieszył się Burkat, — może tak odrazu nie zdążą zmienić.

I prawdopodobnie rozmowa utkwiliaby tego wieczoru, gdyby nie to, że z łózka rozległ się głos milczącego dotąd Karpia: — Ja zaproszę do siebie tych Smithów z ulicy Zamkowej...

Wiadomość ta padła jak grom nieprzewidzianych możliwości.

— Kogo zaprosisz? — zadziwił się Rohoyski.

— Ano Smithów, z Zamkowej. Co to, niby ich nie znasz? Małoś tam ze mną na pot of tea chodź! Zaproszę.

— Jakto, wszystkich Smithów? Chyba nie babcię Smith?

— Wszystkich. Babcię także.

— Zastanów się, głupi chłopie. Przecież babcia Smith ledwo chodzi.

— To nic. Pojedzie, a potem ją poniesiemy.

— Ależ oni nigdy tak daleko nie pojadą. Ta uwaga wyprowadziła Karpia z równowagi.

— Jakto nie pojadą? Ja do nich do Szkocji, a oni do mnie do Polski, do Limanowej, nie pojadą? A zobaczcie że jak zaproszę, to pojadą.

— Przedewszystkiem, — orzekł z godnością Kowalski, — ja u nich też bywałem, więc oni do mnie muszą przyjechać. I to najpierw, bo ja u nich pierwszy...

Karp wpadł w szal:

— ...zapytał ich, kiedy wyjadą? — Powiedzieli, że wyjadą...

— teraz kapral Krysta, jakby uciszał niesformą klasę podczas lekcji przyrody. — Nie pobjecie się o to kto zaprosi Smithów w pełnym składzie rodzinnym. Ja wam coś powiem: zaprosimy wszystkich.

I stał z miną radośnie tajemniczą, jakby właśnie swej klasie miał wyjaśnić pewną nader przyjemną zagadkę.

— Jakto wszystkich? — zaperzył się Karp, który uważał się za jednego właściciela patentu na zaproszenie Szkotów do Polski.

— Wszystkich — powtórzył usmiechnięty bóg ex-nauczyciel. — Zaprosimy do Polski wszystkich Szkotów. Na rewizyte. Kiedy tylko Polska powstanie z powrotem, kiedy tylko w niej z powrotem będziemy, powiem tak do Szkotów: „Byliśmy w różnych krajach i niejednego chleba obcegośmy przez te lata wojny i wygnania pożywali. Były twarde i były słone, były suche i były takie co stawały nam kością w gardle. Bo chleb wygnańcy, nie swój, zawsze pożywać trzeba...”

— Przestań głądzić — zgromił Kowalski, który poczuł naraz że mu coś ścisła gardło.

— Niech gada — odburknął Galica, któremu zaskakło się jakby w oczach.

— Tak powiemy wtedy, my Polacy, Szkotom — mówił ex-nauczyciel, sierżant Krysta. — I powiemy: „Ale wasz chłop był najlepszy, bo dawany ręką najszybciej nieznajomym i sercem najczulszemu. Nie jak zebrałom...”

— Nie mów, nie mów, stary — ozwał się Kowalski.

— ...ale jak sprzymierzeńcom, przyjaciół, braciom dobrze znamym. Wyście nas nie znali wcale, a byliście jak bracia...

— Prawda święta — potwierdził Burkat.

— ...więc żebyście nas poznali, przyjeżdżcie teraz w gościnę do nas. Zapraszamy was wszystkich, po zwycięstwie, w odwiedziny do Polski...”

— Jakto wszystkich? — zadziwił się w tym miejscu strzelec Burkat. — Wszystkich Szkotów do Polski?

— A ex-nauczyciel mówił, jakby wygłaszał bardzo ważny wykład.

— Wszystkich Szkotów. Kto tylko będzie chciał do Polaków w gościnę przyjechać. I tych nieznajomych, spotykanych w barach, którzy płacili za nieznanych im polskich żołnierzy, ledwo przybyłych z Francji, whisky i gin i piwo...

— Uch, zalejemy się z nimi — westchnął radośnie Burkat.

— A te panie szkockie, te dziewczyny i starszki, które nas obcych prosiły do swych domów, na owe pot of tea, na ciastka, na ciepło przy kominku, na życzliwe i dobre słowa...

— Musowo — przytwardził Kowalski.

— I te dzieci małe, co prosiły o „suwenniry”, co nauczyły się mówić po polsku „dobranoc”, „dzieńdobry”, „dowiedzenia”, „czolem”. Wszystkich, wszystkich, wszystkich.

— I profesora Saroleę, który od dwudziestu lat z górą był naszym najpierw-

szym przyjacielem w Szkocji...

— Tak, tak — potakiwał teraz cały pluton, obsiadły wokół kaprala Krysty.

— I lady Warendor, która nam jeszcze we Francji otworzyła róg obfitości maszyn do golienia, skarpetek, aparatów radiowych, nożyków...

— Tak, tak...

— I wszystkie kantyniarki YMKI, z którymi się tyle gwarzyło...

— Tak, tak...

— I te paniny z St. Andrews, które dla nas prowadziły kantine...

— I te z Dundee...

— I te z Glasgow...

— Z Forfar...

— Z Perth...

— I wreszcie, proszę panów, — mówił kapral Krysta, a głos podniósł w tem miejscu uroczysto, — zaprosimy największego przyjaciela Polaków w tym kraju, ów wzór gospodarzy, lorda-provosta miasta Glasgow, Dollana.

Barakiem wstrząsnął ryk, ryk jak na wielkich rozgrywkach sportowych po upragnionym rozstrzygnięciu gola, ryk jak po sknockautowaniu na ringu, jak przy minięciu celownika na wysięgach. Ryk triumfalny, zwycięski, radosny. Cały barak po nocy trząsł się tym rykiem.

— Tak, tak, tak, naszego Dollana!

— Dollana! — dął się Kowalski.

— Dollanowskiego — pòlszczył w ulubiony sposób Burkat.

Teraz już wołali sami, nawyprzódki, kto przedzieł:

— I tych MacMillanów!

— I tego MacDonalda!

— I tego Forsyte’a!

— I te dwie dziewczyny z tamtych szkół, z którymi była wtedy draka o tamte rude dziwki!

— I Króla i Królową!

— I Churchilla!

— I Churchilla! Króla!

— Panowie! — przerwał w tem miejscu sierżant Krysta, znowu jak nauczyciel w szkole, który powstrzymuje zbytnią wesołość wychowanków. — Ten sposób wspomniania o Królu i Królowej oraz o członkach rodziny, który obecny premier nie można uważać za należyty. Podzielił waszą radość i uczucia, ale trzeba by wyrażać właściwie. To zresztą jest i tak jasne, że ich zaprosi Prezydent i generał Sikorski i że w wspaniałym zamku wawelskim ugościmy ich w komnatach naszych królów. Już im tam źle nie będzie. Nie bójcie się. Ale nam w tej chwili chodzi o to byz tych dni tragicznych i walk wspólnych wyrosło coś coby było przypomieniem narodu z narodem, człowieka z człowiekiem, a temu służyc będzie owa rewizyta szkocka.

— Hurra, hurra, hurra!

Drzwi rozwarły się w tej chwili naocież. Wpadł podoficer służbowy, oficer służbowy, trzech oficerów.

— Co to za krzyki po nocy? Pijatyka? Do raportu.

Zapanowało głuche milczenie.

— Teżecie sobie porę wybrali. Generał przyjechał tu właśnie na nagłą inspekcję obozu. No...

— Coż to było, co? — zapytał ukazując się skolei w drzwiach dobrze nam już znany generał. — Kto tu najstarszy? Sierżant Krysta? To pan, panie sierżancie, na takie rzeczy pozwala? Nauczyciel gimnazjalny?

— Jak wchodziłem, to stał i sam krzycał — podsuwał podoficer służbowy.

— Co się panu stało? — pytał generał, który zrozumiał że nie chodzi o zwykłe wydarzenie. — Co to, nie pilniecie nawet — zagadnął, widząc że niema śladu butelek, szklanek, picia. — To bardzo podejrzane.

Powoli, wspomagany przez towarzyszy, biedny nauczyciel opowiedział przyczynę owej głośnej radości. Generał wraz z otoczeniem słuchał.

— Ładnie, ładnie, — powiedział, — ale krzyków po nocy się nie robi. Jutro zameldujecie się do raportu u waszego dowódcy bataljonu.

Lecz idąc ku samochodowi, na drodze powiedział jeszcze:

— Panie pułkowniku, gdy jutro się u pana zameldują, niech ich tam pan nie skrzywdzi. Stracha musiałem im nieco

zapędzić, ale tak to nic.

— Może choć ze trzy dni koszarniaka — podsuwał dobry pułkownik.

— Nie — rzekł generał. — Nic. Najlepiej nic.

W samochodzie zaś zwrócił się do adiutanta:

— Ten nasz podchorąży wciąż nie nie robi...

— Jakież, panie generale... Thumaczy regulaminy angielskie, prowadzi całą korespondencję... Teraz znów...

— Co to wszystko znaczy? — przerwał generał. — W tego wieku ja trzy razy tyle potrafiłem zrobić. Nie, nie. Trzeba wziąć do galopu. Powinien nam napisać Co tej gazetki obozowej tak... jak się to nazywa... wzię. O, właśnie, wzię. Jak będzie wyglądał kiedyś taki przyjazd tłumy Szkotów do Polski.

— Zaraz mu to powiem.

— Już od wczesnego rana — czytał swoją opowieść-wizję podchorąży — wszystkie nadbałtyckie pagórki, wszystkie nadbrzeża portowe, wszystkie dachy domów, łące i skwery, biała góra Oksyvia, które bronilo się samo jedno przez długie dni, słowem, cała Gdynia...

— Przepraszam; nie Gdynia — zaopnował major. — Przyjmijmy ich w Szczecinie albo w Królewcu, w portach przez Niemców pobudowanych na cementarzyskach słowiańskich, gdzie po wsiach są jeszcze potomkowie prastarej ludności słowiańskiej.

— Za przerywanie będzie się płaciło jak zawsze — zapowiedział generał. — Mnie się wydaje że Gdynia, miejsce które za czasów niemieckich było wsią rybacką, a teraz jest miastem, miastem polskim wyjeżdżającym na największe porty bałtyckie, najdalej na północ, zbiega się i wylega.

— Ale nie tylko cała Gdynia. Oto specjalnymi podziałami przyjechało z całej Polski tysiące i tysiące ludzi. Mężczyzn, kobiet, dzieci, starców. Wielu mieszkalo w pobliżu Gdańska, który przez te lata rządów niemieckich odczuł dokładnie, że jego pomyślność zależy jedynie od najsilniejszego związku z Polską. Ale i tam nie mogli się pomieścić, przeto koczowali w namiotach i mieszkali w wagonach. Ale czekał.

— Tak będzie naprawdę — przytwardził pułkownik.

— Nieco przed godziną dziesiątą na morzu ukazały się czarne punkтики. (Morze tego dnia było tak błękitne i modre, jakby ono chciało dostrzcić się do wielkiego święta). W tym momencie syreny i dzwony kościołów zagrały wielkim akordem. Nie tylko w Gdyni, ale i w Gdańsku, Warszawie, Poznaniu, Krakowie, Lwowie i Wilnie...

— We wsi nawet najmniejszej — dodał kapelan.

— ...we wsi nawet najmniejszej — w parafii najuboższej — czytał podchorąży. — Jednocześnie działa ustawione na Oksywiu, tam gdzie we wrześniu 1939 r. Polacy odparli szturm po szturmie, na Westerplatte, która bronila się jak Alkazar dumny, na Helu, oddawały miarowo taki właśnie salut armatni, jaki oddaje się zazwyczaj jedynie królom.

— Piękna chwila — westchnął generał; — przypomniał nam ona nanow rozkosze wojny.

— A tymczasem na morzu, w honorowej asyście polskich okrętów wojennych, jechało kilkadziesiąt wielkich transportowców. Ustawieni na ich pokładzie Szkoci czekał na ląd polski i podziwiali owe okręty wojenne o nazwach „Jerzy VI”, „Churchill”, „Szkocja”, zbudowane dla polskiej marynarki wojennej w ostatnim roku wojny, a uświęcające swymi nazwami te dni tragiczne i heroiczne, jakie narody wspólnie przeżyły...

— Trzeba to zanotować — rzekł generał.

— Najlepszymi ciceronami były jednak dzieci szkockie, których na owej masowej wycieczce, pierwszej w dziejach wycieczce narodu u narodu, było ogromnie dużo. Te odrazu pokazywały niewielki półwysp, po który lasem i gęstym...

— O, namusił, patrz tu. To Hel. Pamiętasz jak ja ci opowiadałam, jak tam bronili się na tym Helu i jak ginęli.

— Tak, tak, — odpowiadała mamusia, która nie pamiętała nic, — bardzo tam było las.

— O, a tam będzie Gdańsk.

— Dlaczego nie widać Westerplatte?

— O, Gdynia... Gdynia...

— Nie na darmo poszły małym Szkotom opowiadania polskie. Wszystko zgóry wiedzieli. I kiedy okręt po okęcie stał przy nadbrzeżu, one rozkrzyczały się najgłośniej, choć monotonnie, bo wciąż to samo:

— Czolem, czolem, dzieńdobry, dzieńdobry.

— Ponieważ jednak po tamtej stronie, na lądzie, był taki sam tłum dzieci, więc rozkrzyczano się i stamtąd:

— Long live!

— Dopiero głosniki radiowe, transmitujące uroczystość, zagłuszyły trochę te niesforne wylewy radości najmłodszych pokoleń dwóch narodów. O tej porze dnia bowiem, kto mógł siedział przy głośniku, by choć w ten sposób być świadkiem owej niezwykłej uroczystości: przyjazdu Szkotów na zaproszenie narodu polskiego. Niestety, w zupełnym gwarze rozmów i powtań utonęły bez śladu mowy powitalnej, przygotowane przez wielomównych Polaków. Poprostu nie można ich było wygłosić...

— Jakże to przyjemne — ucieszył się major.

— ...bo krzyki, nawoływania, rozpoznawania się nawzajem, zakłóciły wszystko. Widziano pewnego majora, awansowanego już na pułkownika, który potrzasał w objęciach niejakiego MacDonalda, hotelarza z St. Andrews...

— To o mnie tam pisał — wykrzył z właściwą sobie bystrością major. — I o starym MacDonaldzie, z którym zawsze pijemy po dwa giny.

— Właściwie to kapłanowi udało się z dubeltówki z bladokim pastorem spod kapelusza.

— Jak Boga kocham, to ja — zadziwił się kapelan.

— ...bo każdy odkrywa najbliższą nam w drugim narodzie duszę. Innych mów powitalnych nie było. Z trudem, w toku, przeprowadzono na ląd polski pewnych czołowych gości. Sprawozdawca radiowy miał nadzieję że teraz wreszcie uda mu się odegrać swą rolę:

— A teraz widza państwo — powiedział — wysokiego, postawnego pana w czerwonym płaszczu z gronostajami. Właśnie schodzi po kładce na ląd. Ten pan to...

— „Dollan! Dollan! — ryczał tymczasem tłum.

— Ten pan, — obwieszczał uroczystość speaker, — to we własnej osobie...

— „Poco on to mówi? — złościło się przy głośnikach kilkanaście milionów Polaków. — Wszyscy wiemy że to lord-provost miasta Glasgow, sir Patric Dollan...”

— A oto, — niestrudzenie dął się biedny speaker, — w mundurze służby pomocniczej kobiet, ta pani trzymająca się prosto, z tym ujmującym, niezwykłym usmiechem...

— „Idjota, — mruzciano przy głośniku, — kłoby w Polsce nie wiedział jak wygląda lady Warendor...”

— A teraz... — nie tracił rezonu speaker i zapowiadał, opisując przedtem każdą znakomitą persone.

— „Ale przetrwał nam ryk obecnych i zgadywanie nieobecnych.

— „Bo tymczasem tłum szalał.

— „Pamiętasz, — mówił Szkot do cywila-Polaka, — ta dziewczyna co to wtedy w kinie...”

— „A jakże? No i co, powiadaj?

— „Wysłaż zamaż.

— „Nadzwyczajne. A za kogo, nie wiesz?

— „Ale odnalezionym przyjaciołom już przerywano rozmowę. Szkota obstępili inni Polacy.

— „Pan nie pamięta? Pan jest stary Bill z Earn?

— „Jaki ja tam stary — burzał się biedny Bill, który miał jak najlepsze mniemanie o sobie.

— „Wszystko jedno. To myśmy przecie wtedy ćwiczyli na pańskiej łące. Co to za błoto było, pozał się Boże, co za błoto. Zawsze tam takie?

— „Zawsze. Tylko teraz tam sadzę kartofle.

— „Nie może być. A w Forfar co słychać?

— „A w Blairgowrie?

— „A w Perth?

— „A w Cupar?

— „A u pana w tym... no, jakże tam? Jar? Jar? Jarcinie?

— „A w Newport?

— „A tamten reżenik czy żyje?

— „A tamta dziewczyna czy zawsze służy u tego Włocha na rogu?

— „Nieliczni tylko Szkoci zdolali przejść do kontrataku pytań:

— „To pan się ożenił?

— „Jakież idzie interes?

— „Nie tęskni pan za wojskiem?

— „Ta rana to już w porządku?

— „No i odnalazł pan jednak rodzinę.

Miałem rację gdy pana pocieszałem, prawda?

— „Nie, nie będziemy tu stali na wietrze — osadził jeden z roztrępniejszych Polaków — idziemy gdzieś pod dach. Zobaczyćcie, goście szkocki, co to jest polska „czysta”. Albo „wyborowa”. Albo „z kropelkami”. Lu.

— „Organizacja masowego picia działała bez zarzutu. Ogromne ilości najlepszej szkockiej whisky sprowadzono umyślnie na tę uroczystość, aby goście czuli się jak u siebie w domu. Polacy zresztą, którzy tyle czasu spędzili w Szkocji, wprowadzili do swej ojczyzny powszechniejszą znajomość whisky, wzbogacając tem znacznie i tak bogatą kulturę pijacką swego kraju.

— „Słusznie — powiedział major. — Nic nie zbliża narodów tak jak picie.

— I wojna — poprawił generał.

RYSZARD WRAGA

TEORIA I PRAKTYKA REWOLUCJI

„W JEDNEM PAŃSTWIE“*)

Z cyklu „Mit XX wieku“

REWOLUCJA W KRAJU „NIEPRZYJĘTOWANĄ“

Porewolucyjni znawcy spraw sowieckich napracowali się niemal na udowodnienie, że Rosja ze względów zarówno psychiczno-moralnych jak też wewnętrzno-politycznych, ustrojowych, społecznych i gospodarczych była doskonale przygotowana do rewolucji. Nawykli do historiozoficznego myślenia analitycy doszukiwali się protagonistów bolszewizmu już nieomal w okresie najwcześniejszej historii Rosji. Ołbrzymia plejada rosyjskich liberałów, „wołodumców“, „narodników“, „socjalistów“, „nihilistów“, wreszcie „eserów“, „esdeków“, „bakuninowców“ i t.p. stanowiła nieprzebraną skarbnicę analogii i historiozoficznych rozważań. A w dziedzinie myśli — iluz to żródło „bolszewizmu“ można doszukiwać się w Bielskim, Czernyszewskim, Saltykowie-Szczedrinie, Hercenie, Dostojewskim, a nawet w Puszkynie lub Gogolu. Kapitałna praca Kucharzewskiego wspaniale analizuje twórcze składowe psychiki i politycznego folkloru tego tła, na którym powstał „bolszewizm“. Ale wszystkie te teorie nie zmieniają w niczym faktu, że rewolucja leninowska tylko w swym stadium początkowym — w anarchii niszczycielskiej — jest bliska wschodowi Europy i Rosji. W treści i celach jest im jak najbardziej obca. Wynika to przede wszystkim z oceny potencjału materialnego Rosji przedwojennej, którego analiza dokonana była, jak się okazało, należyte tylko przez najbardziej zainteresowanych w rewolucji marksistów — reinkarnistów, a przede wszystkim przez Lenina. Polskie i Polaków interesował ten potencjał prawie wyłącznie poprzez pryzmat interesu narodowego, a Europie i świat przeważnie ze względu na eksploatacyjne podejście kapitału światowego do terenów rosyjskich. Nie należy zapominać, że przed wojną 1914 r. Rosja carska płaciła rocznie 800—900 milionów rub. złotych samych odsetek od pożyczek i kapitałów cudzoziemskich.

W krótkiej i jasnej syntezie sformułował tę sprawę Lenin: „W porównaniu z krajami postępowymi Rosji łatwiej było zacząć wielką rewolucję proletariacką, ale tem trudniej jej ją kontynuować i doprowadzić do decydującego zwycięstwa w sensie całkowitej organizacji socjalistycznego społeczeństwa“.

„REWOLUCJĘ LATWO ZACZAĆ — TRUDNO KONTYNUOWAĆ“

Rosja, jako kraj pod każdym prawie względem bezgranicznie zacofany, o nieprawdopodobnych formach ustrojowych, kraj ołbrzymich możliwości ale też i niesłychanego prymitywizmu gospodarczego, przedewszystkiem jeśli chodzi o wieś, o niebывale rozpętaność różnic kulturalnych, o jeszcze większej rozpętaność stopnia uświadomienia polityczno-społecznego, gdzie obok idej emocjonujących i przodujących w całym świecie, panowało wśród mas średniowieczne zacofanie, Rosja, wychodząca zaledwie z okresu feudalizmu podczas gdy na świecie dojrzewał zarys kryzysu kapitalizmu, Rosja, o niedopiętym stąd przez ten kapitalizm warunkach do „budowy socjalizmu“ — taka to Rosja stała się terenem zwycięstwa proletariatu (mimo że tego proletariatu właściwie nie posiadała) w rewolucji socjalistycznej, skierowanej przeciwko kapitalizmowi, do którego Rosja też jeszcze w tym czasie nie dorosła.

Rewolucja tylko w części swjej negatywnej, anarchizacyjnej, niszczycielskiej, leżała w podświadomości i świadomości tęsknotach mas rosyjskich. Pozytywna, konstruktywna część rewolucji, klasyczny marksizm jest wykwitem typowo zachodnim. Wreszcie sam Lenin, Trocki, czy Plechanow, podobnie jak Hercen, Bakunin czy Kropotkin, są typowymi umysłami zachodnimi z tą właściwą elicie intelektualnej rosyjskiej „plus catholique“ w stosunku do kultury i cywilizacji zachodniej. Całe rosyjskie „zapadniczość“, to awangarda myśli zachodniej, europejskiej. Tylko Słowianie, a przedewszystkiem Rosjanie zdobywali się na tę „niezwykłą lekkość myśli“, pozwalając im na epatowanie Zachodu inspiracjami opartymi na jego dorobku.

Terror „samodzierżawia“ poldzichich feudałów, zwyrodniałe arystokracji, różnych „samodurów“ politycznych czy gospodarczych, eksploatacja mas włościańskich i będącej w zarodkach klasy robotniczej, sprawił, że rewolucja została przez masę przyjęta bez wnikania czy nawet rozumienia jej treści, programu i celów. Masy, upojone zwycięstwem nad tyranią samodzierżawia, zupełnie nie uświadamiały sobie jak wielkie dysproporcje istnieją pomiędzy praktycznymi możliwościami i przygotowaniem ich kraju do socjalizmu, a temi wymaganiami, które stawia im partja, i to stawia w sposób jak najbezwzględniejszy i poparty całkiem nie gorszym od poprzedniego despotyzmem.

Te dysproporcje zdecydowały raz na zawsze o rozdrożeniu dla samej partji zagadnienia rewolucji. Podczas gdy na zewnątrz, „na wynos“, musiała ona zachować całą „dziewiczość“ atrakcyjności marksowsko-leninowskiej nauki, demagogicznej i wyrotowej utopii, na wewnątrz musiała przystosowywać się do realnych warunków terenu i liczyć się, mimo całej bezwzględności i fanatyzmu eksperymentatorów, z materialnymi i duchowymi możliwościami kraju i narodów. Ba! mało

tego: to materialne zwycięstwo rewolucji — Związek sowiecki — musiał samo przez się stać się potwierdzeniem realności programu już nie tylko rewolucji jako procesu niszczenia kapitalizmu, ale rewolucji jako procesu konstrukcyjnego, budującego nowy, atrakcyjny świat, samem swoim istnieniem niosący zagładę dla świata starożytności. Ten podwójny stosunek partji do rewolucji musiał spowodować podwójny stosunek jej do Rosji jako państwa. Państwo to, przyjąwszy rewolucję z biernością nieświadomego, nie miało w sobie siły, by odrzucić ją od siebie, mimo że poza emocjonalną, anarchizacyjną negacją przeszłości, nie już nie widział w niej atrakcyjnego, a wszystko przetrastało jego konkretne możliwości praktyczne. Wspaniała plejada protagonistów z dekabrystami, z Dostojewskim i z Bielskim, naczele, nie zmieniła ani na jotę faktu, że idea budowy socjalizmu, idea jutra, nie wzbudzała entuzjazmu poprostu ze względu na to, że nie miała dostatecznego ugruntowania w normalnym rozwoju stosunków społeczno-gospodarczych narodów imperium rosyjskiego.

Teren okazał się nadwyrzeczony i trudny. Lenin miał więcej niż rację, Marxism, a za nim leninizm jako teoria i taktyka rewolucji, nie są tylko koncepcją niszczenia starego porządku rzeczy. Są one przede wszystkim programem budownictwa pozytywnego, którego możliwości sami autorzy, świetni dialektycy, uzależniają od stopnia ewolucji kapitalizmu. Wypadek rosyjski był tak samo mało brany pod uwagę przy tych teoretycznych rozważaniach i tak samo nie odpowiadał marksowskiemu schematowi, jak np. hinduskie kasty, oparte na religijnym poglądzie na świat, a nie będące wykładnikiem walki klasowej w Indiach. W Rosji carskiej, walki klas w rozumieniu marksowskim, nie było. Burżuazja zaledwie powstawała, arystokracja zaś, która nigdzie nie może być uważana za klasę społeczną, była znielowiona przez masę pracującą zupełnie z innych powodów, niż gospodarze. Pojęcie „kapitalizmu“, nieaktualne dla Rosji i mętne w rosyjskim brzmieniu słowa „burżu“, musiałoby być szybko zastąpione słowem „eksploatator“ i jeszcze prostszym — „krwiopijca“. Tym „krwiopijca“ w warunkach rosyjskich, po wyróżnieniu generałów, kniazów i innych potomków bojarów, okazał się przede wszystkim „kulak“, specyficzna klasa rosyjska, licząca aż 12,3% ogółu ludności.

Ewolucyjny moment kapitalizmu w Rosji nie istniał wcale. Ale nie przerażało to ani geniuszu Lenina, ani energii i woli partji. Rosyjscy komuniści potrafili z żonglerską przemyślnością ustawić zagadnienie walki klasowej pomiędzy „proletariatem“ a „burżuazją“, niezależnie od samego faktu istnienia kapitalizmu i kapitalistycznych stosunków. Abstrakcyjność leninizmu w stosunku do Rosji przerodziła pod każdym względem ogólnie znaną abstrakcję marksizmu. Wykluczyło to z punktu pierwiastek moralny w rewolucji rosyjskiej: nie mogąc walczyć z państwem kapitalistycznym, bo go nie było, nie mogąc likwidować go na rzecz proletariatu, walki klasowej, skoro nie było ani samej walki, ani nawet dostatecznych do niej przesłanek, partja rozpoczęła „Nepem“ misterną konstrukcję: coś w rodzaju kapitalizmu, „ersatz“ państwa, które miało dopełnić to czego nie wykonał kapitalizm, t.j. skonstruować klasy, wywołać walki klasowe, stworzyć proletariatu i doprowadzić do jego „zwycięstwa“.

W trakcie realizacji tego programu, partja w ciągu lat dwudziestu utraciła lub polamała sobie zęby, i to zębami niebyłymi. Odpadli najzdolniejsi i najzrębsi rewolucjonści: Swierdłow, Dzierżyński, Tomski, Bucharin, Zinowiew, Trocki, Kamieniew, Joffe, Kujbyszew, Rykow, Rakowski, Piatakow, setki, a może nawet tysiące innych, nie mówiąc o samym Leninie. Większa część z nich zginęła w wyniku walk wewnętrznych o hasła i metody, a w walkach tych nie miała rolę odegrała właśnie praktyczna zetknięcie się z terenem realizacji i koniecznością lawirowania pomiędzy rewolucją praktyczną a rewolucją jako celem na zewnątrz.

BEZ DNIA DZISIEJSZEGO

24 lata gospodarki sowieckiej, to 24 lata bezprzekładnych zmagani fanatycznych realizatorów idei „na wyrost“, idei przeznaczonych dla innego świata, zmagani z terenem zgoda do tej idei nieprzystosowanymi. Realizatorzy podjęli zaiste sztywną pracę: nie tylko budowanie socjalizmu, lecz i dopełnienie warunków niezbędnych do tego socjalizmu, pracę podwójną, która z reguły skazywała wielomilionowe narody na wyrzeczanie się dnia dzisiejszego. I to jest bodaj najbardziej specyficzna właściwość państwa sowieckiego, że w odróżnieniu od każdego innego, nie posiada ono dnia dzisiejszego. To co jest dzisiaj — jest nieważne. Ważny jest dzień jutrzejszy — dzień realizacji. Lecz jeżeli w nadziei na ten dzień jutrzejszy można było konstruować program i taktykę rewolucyjną dla państw kapitalistycznych, to w realizacji programu pozytywnego na terenie już zdobytym przez rewolucję okazało się to niemożliwe. Zarówno pojedynczy człowiek jak i masy nie są w stanie zdobyć się na indywidualny czy zbiorowy wysiłek jedynie w imię przyszłości, w negacji teraźniejszości, bez pamięci o przeszłości. Przeszłość dla narodu jest nieodzowna w każdej fazie jego rozwoju, jako najbardziej trwałe oparcie psychiczno-moralne, a teraźniej-

szczę musi zapewnić mu minimalną bodaj rekompensatę za wysiłek dla przyszłości. Jeżeli rewolucja zawładnęła despotycznie terenem, aby eksperymentować na nim realizację socjalizmu, to ze swej strony i teren narzucił tej rewolucji swe warunki i zmusił ją do liczenia się z faktami. Z leninowskiego lekceważenia faktów („tem gorzej dla faktów!“!) niewiele pozostało. Zresztą i sam leninizm w porównaniu z marksizmem przedstawia zbyt wiele różnic, które muszą być tłumaczone nie tylko ewolucją w czasie, lecz i wpływami terenu. Z pensjonarsko dziś brzmiącego „komunizmu“ jako idei, pozostały tylko słabe echa w postaci dyktanckich sporów, kawiarnianych „Marxizm“, „leninizm“, a obecnie „stalinizm“, to wielkie etapy rozwoju taktyki programu naszkicowanego w historycznym „Manifestie“.

DWA OBRAZY REWOLUCJI

Jeżeli więc inny jest obraz rewolucji konserwowanej w wielotomowych wydaniach moskiewskiego Instytutu Marksa-Engelsa-Lenina, przechowywanej jako depozyt i przeznaczanej na wywóz, a inny — rewolucji urzeczywistniającej w granicach Z.S.R.R., to i ten ma podwójny niejaki aspekt. Jeden — rzeczywisty, realny, składający się z konkretnych, materialnych i duchowych pierwiastków, drugi — oficjalny, tworzony przez partję na użytek zarówno wewnętrzny jak zewnętrzny.

Rewolucja w swej części konstrukcyjno-pozytywnej, a więc w okresie nie niszczenia przeszłości, lecz budowy socjalizmu, nie wynika z przyrodzonych materialnych możliwości i żywiołowych tendencji Rosji. Jest ona programem narzuconym, a realizacja jej despotycznie nakazywana w imię dnia jutrzejszego. Spotykając się z naturalnym oporem, wynikającym z przesłanek zarówno materialnych jak duchowych, łamie ona i niszczy ten opór, zniekształcając, na żywo amputując i modelując organizm państwa i narodu. Materiał, z którego rzeźbiony jest ten nowy twór, jest wyjątkowo oporny, a z tego powodu rezultat — jakże daleki od przewidywanych, schematycznych planów. Ale bezwzględnie 24 lata tak chemicznie, abstrakcyjnie spreparowanej rewolucji dokonanych na terenach rosyjskich ogromnych spustoszeń, ogromnych zniszczeń jeżeli chodzi o przeszłość i jeżeli chodzi o układy stosunków gospodarczych, a przede wszystkim o ich duchowość, nie da się przecenić.

Dawna Rosja przeszła w ciągu 24 lat — rzecz można śmiało — z „złotego wieku“ w „złoty wiek“. Jedynym czynnikiem i elementem, wiążącym ją dzisiaj jest właśnie rewolucja. Rewolucja nie była programem realnym dla Rosji jako państwa, lecz to właśnie Z.S.R.R. jako to państwo jest tworem rewolucji, które nie stać już dziś na żadną inną samodzielną politykę, niż tylko nakazaną przez rewolucję. Los Rosji jest w ogromnym stopniu uzależniony od dalszych losów rewolucji.

NISZCZENIE PRZESZŁOŚCI

Podstawowymi punktami programu leninowskiego, jeżeli chodzi o stworzenie z Rosji bazy rewolucji, państwa o charakterze „prześciowym“ do chwili ostatecznego wszechświatowego zwycięstwa rewolucji, są:

zniszczenie na terenie dawnej Rosji wszelkich śladów ustrojowo-społecznych dawnego regimie; i; doprowadzenie do socjalistycznych form ustrojowych;

umocnienie Z.S.R.R. jako państwa w przewidywaniu interwencji. Zniszczenie dawnych form ustrojowo-społecznych przy jednoczesnej budowie socjalizmu — nie okazało się zadaniem łatwym. Mimo że Lenin zastosował w tym wypadku jak najbardziej elastyczną i cyniczną taktykę kompromisów i nawroto, teren rosyjski, bądź z względu na swe kompletne nieprzygotowanie duchowo-moralne, bądź z uwagi na brak przesłanek materialnych, okazał się nadwyrzeczony. Rezultaty, dające się ująć w cyfrach, wykazywały niejednokrotnie olbrzymie, wprost różnice, co z konieczności musiało spowodować zasadnicze odchylenia od pierwotnych zamierzeń przy dalszych planowaniach. Rezultaty, nie dające się zbliżać do białych, odbiegały jeszcze bardziej od planu. Socjalizm narzucono, a nie wynikający z wewnętrznej potrzeby mas, realizowany był właściwie od strony form i przesłanek prawnych.

Masy, po zakończeniu pierwotnego okresu zrywu i patosu rewolucyjnego, w którym wyżyły swoją nienawiść do wszystkiego co technologiczne i despotyzmem kilkuwiekowego ucisku, nastąpiły na to stabilizację i państwowość. Dalsze cele rewolucyjne, rewolucja światowa, interesy proletariatu międzynarodowego, były im jak najdoskonalej objęte. „Uznajemy Sojety — ale bez komunizmu“. Ta anegdotycznie brzmiąca formuła włościan rosyjskich, głoszona przez nich jeszcze w latach pierwszych „płatlekt“, jakże idealnie wyraża tęsknotę do stabilizacji, do jakiejś, zapewniającej byt, konstytucji. Fatum

ciężące nad każdą rewolucją, ten zdecydowany brak dnia dzisiejszego, ta konieczność nastawienia się na jutro, stanęły twardym murem pomiędzy partją a wielomilionowymi narodami. Dyktatura partji, nastawiona na ostateczne zwycięstwo proletariatu, zetknęła się z biernym, ale tem może straszliwszym dążeniem mas do stabilizacji dnia dzisiejszego. Kilkunastoletnie zmaganie zakończyło się zwycięstwem mas: masy otrzymały państwo. Otrzymały zresztą nie tylko dzień dzisiejszy, nie tylko stalinowskie zapewnienia o „radosnym i szczęśliwym życiu“, nie tylko molotowskie ekspiacje za niedociągnięcia w zaopatrzeniu obywateli, nie tylko demokratyczne prawa wynikające z „najbardziej demokratycznej konstytucji świata“. Otrzymały one równocześnie prawo do dnia wczorajszego, prawo do przeszłości i tradycji, prawo do oparcia na „wielkiej przeszłości wielkiego narodu“. Ale w tem wszystkim był właśnie największy fałsz, fałsz konieczny zresztą i jak najbardziej moralny z punktu widzenia leninizmu, fałsz kapitalnie spreparowany przez partję i „genjalnie dozujący dawki“ — Stalina.

Spragnione jakiejś takiej stabilizacji masy, nie dostrzegły i nie dostrzegają nadal, iż te ustępstwa, które otrzymały od partji po pozornym swem zwycięstwie nad leninizmem, nie są realizacją ich istotnych marzeń i dążeń, że całe to, tak atrakcyjnie brzmiące hasło „budowy socjalizmu w jednym państwie“, hasło zwalniające od konieczności dalszych walk o „Grenade“, Paryż, czy inny Liverpool, jest spreparowaniem nie poco innego, niż aby uspokoić skłonną do interwencji kapitalizm, a zmęczonemu i przerażonemu ogromem własnego niszczycielskiego wysiłku obywatelowi sowieckiemu dać uludę, że to buduje on własny dom na wyspie spokoju i szczęśliwości, wolnej od „okropieństw kapitalizmu“.

PAŃSTWO REWOLUCJI — BEZ REWOLUCJONISTÓW

Obywateli sowieckich — nawet partyjnych — nie dostrzegają że nie będąc w gruncie rzeczy żadnym rewolucjonistą, „komunistą“ o ambicjach światowych, że mając w wysokim poważaniu jakieś tam interesy jakichś tam zamorskich mas, nie wykonują wcale tego co myśli że robi, lecz że w dalszym ciągu jest narzędziem tej rewolucji światowej, która w gruncie rzeczy jest tylko i wyłącznie chadząco z przodu i tyłu.

Jedynym krajem na świecie, w którym nie ma komunistów — mówili trockiści, i w tem paradoksalnym powiedzeniu, jak w każdym paradoksie, założenie jest prawdziwe.

Gdybyśmy nadal mieli operować paradoksem, można byłoby naszkicować taki schemat układu sił rewolucyjnych w Z.S.R.R.: komunistów — 1 (słownie: jeden); niekomunistów — 170,5 milionów minus 1.

Oczywiście, że całkowite personifikowanie rewolucji i leninizmu w osobie Stalina byłoby błędne, prawdą jest natomiast, że nawet najwyższe góry partyjne, z Molotowem, Worosziłowem, Zdanowem i Andrejewem, nastawione są na elementy związane bardziej ze Związkiem, niż z rewolucją w światowej skali. A doly partyjne, nie tylko nie mają szerszych horyzontów, ale wręcz celowo utrudniają dostęp do wglądu i głębszej obserwacji. Inny więc schemat byłby właściwszy dla zobrazowania sytuacji.

Z.S.R.R. — JAKO BAZA REWOLUCJI

Kierowany i budowany przez partję W.K.P.(b), która w stosunku do państwa zachowuje pełnię dyktatury; marksowsko-leninowska dyktatura proletariatu zastąpiona jest „czasow“ (do osiągnięcia całkowitego zwycięstwa socjalizmu) dyktaturą partji.

REWOLUCJA ŚWIATOWA

— dokonywana jej przedewszystkiem sam kapitalizm; Komintern jako narzędzie rewolucji odgrywa tu rolę raczej pomocniczą jako łącznik pomiędzy „socjalistyczną ojczyzną“, bazą rewolucji, a „kapitalistycznym otoczeniem“.

ROLA STALINA

Ze schematu tego wynika jasno i wyraźnie zakres możliwości „Stalina“. Nie może on oczywiście „zrobić“ rewolucji. Rewolucję chciał „zrobić“ Trocki. Stalin nie jest najsławniejszym bohaterem, jest natomiast bardzo konsekwentnym leninowcem i wie, że rewolucja musi dojść, musi powstać sama. Ze można jej narodzeniu tylko pomóc przez analizę, uświadamianie mas i wyjaśnianie sytuacji (propaganda) — nie, na zewnątrz raczej bierna, rola czujnego obserwatora, nieangażującego się

a przedewszystkiem nie angażującego autorytetu rewolucji w żadne kapitalistyczne interesy. Inna rzecz — jego rola w stosunku do Z.S.R.R. Tu występuje zupełnie nadrzedzona dyktatura w stosunku do partji. Tu Stalin obserwuje i ocenia sytuację, określa jej temperaturę, ustala kurs, „genjalnie dozując dawki“ — jak to świetnie określił Bucharin. Im mniej partja, a jeszcze mniej masy sowieckie zdają sobie sprawy z minusów sytuacji, tem lepiej. Żadnej dyskusji na tematy rewolucji. Cała energia partji i mas musi być skierowana na państwo — za rewolucję odpowiada Stalin. To „podwójne“ oblicze Stalina myli i zbija z tropu, a w zestawieniu z „państwowym“ (pozwornie) wyrazem partji, pozwala wyciągać różne równie pochopne jak i niedorzeczne wnioski o „państwowym“ charakterze Z.S.R.R.

W rzeczy samej bowiem: jeżeli tylko Stalin jest tym kapitanem statku, który wyłącznie zna kurs i przeznaczenie, dawałoby się, że zwyczajnie i proste usunięcie go usunąłby element nadrzedności rewolucji nad państwem. Z.S.R.R. staje się prawie normalną Rosją — tak jakby nigdy nie nastąpiło. Ten sen olbrzymiej masy międzynarodowych polityków mógłby być bez trudu zanalizowany przez freudystów, jako rezultat przedewszystkiem zagrożenia kapitalizmu. Realne bowiem i świadome spojrzenie na rzeczywistość sowiecką daje zupełnie inny obraz. Wszelkie, bardzo zresztą chętnie popierane lub wręcz inspirowane stawki „na armję“, „na Worosziłowa“, „na inteligencję“, „na nacjonalizm Molotowa“ czy „Zdanowa“, na „gruzińskość“ Stalina czy Berli, to ponura i szkodliwa bzdura.

IWAN GROŹNY — KOMSOMOLCEM

Rzecz w tem bowiem, że wprawdzie jeżeli chodzi o zagadnienie rewolucji światowej, inna jest partja, znaczenie i rola Stalina, inna partja, a inna znowu narodu sowieckiego, ale wszystkie te elementy zostały przez leninizm i dotychczasową krenowską taktykę zupełnie wyraźnie ze sobą związane, tworzą pewien odrębny, już nie tylko organizacyjny, ale i psychiczno-moralny system. Nie można wprawdzie wyobrazić sobie dzisiejszego układu sowieckiego bez Stalina, a Z.S.R.R. bez partji, ale nie znaczy to bynajmniej, by Z.S.R.R. bez Stalina i bez partji stawał

byłby w stanie przetrwać.

W Rosji, Znaczący to jedynie, że bez tych elementów nastąpiłyby krach leninizm i Związek sowiecki, przetrwałby organizm rosyjski. Nie dałaby się one porównywać z żadnymi reformami, z żadną inną dyktaturą, właśnie dlatego że Iwan Groźny czy Piotr Wielki były to zjawiska typowo rosyjskie, wynikające z naturalnych potrzeb narodu rosyjskiego, a leninizm ze Stalinem i partją są tylko w pewnych formach bliskie psychice i umysłowości rosyjskiej, w treści zaś swej i w filozofii są doskonale im obce, ba, nawet wrogie. I jeżeli Stalin szuka dla siebie protagonistów w stylu Aleksandra Newskiego, Iwana Kalitę, Iwana Groźnego czy Piotra Wielkiego, jeżeli dla armji czerwonej odświeża się lubkowe wizerunki Minina, Kutuzowa czy Suworowa, a dla narodu sowieckiego stare „byliny“, „Słowo o pulku Igora“ i różne bajdy o Susanie, Razine, Pugaczowie czy partyzantach Demidowa, nie znaczy to bynajmniej, by Stalin odsuwał się od internacjonalizmu rewolucji i zakieplając siebie, partję i sowiecki naród w ramach wąskiego nacjonalizmu, lecz znaczy to, że szuka on elementów dnia wczorajszego przy przestalceniu narodu rosyjskiego, ukraińskiego i innych na sowiecki naród socjalistyczny. Szuka on uzasadnienia ciągłości, elementów do oparcia się na przeszłości, bez których naród ten nie jest w stanie iść ciągle w nieznanne eksperymenty. Nie Timoszenko ma być Suworowem, nie Pasternak Puszkinem, nie pierwszy lepszy „diadla“ spod Kostromy Susaninem, wreszcie nie Piotr Wielki jest idealnym dla Stalina, lecz wszystko akurat naodwrot. To właśnie Suworow był dziecinny — przykładnym komсомолcem, a Piotr Wielki — tylko skromnym protagonistą Długoszyńskiego. Nie jest winą Szewczenki, Kutuzowa czy Iwana Groźnego, że nie było wówczas form leninowskiego katechizmu, że nie istniała W.K.P.(b). Skwapliwie rozwinięta przez zachodnich historiozofów teoria o bolszewickich protagonistach, podchwytana „ku pokrzepieniu serc“ przez niektórych emigrantów rosyjskich („bolszewik toż nasz brat, a Z.S.R.R., toż otecztwo“), wyzyskana była jak najdokładniej na zewnątrz dla umówienia partji i obywateli, tezy: „rewolucja idzie z Rosją poprzez wielki“; „my bolszewicy nie jesteśmy bezrodu-plemienia, my jesteśmy narodem z wielką historią“. Element przeszłości, oceniony z zewnątrz pośpiesznie jako nawrót do nacjonalizmu, okazał się konieczny do budowy przyszłości i do... łamania tych materialnych i psychicznych dorobków tejże przeszłości, któreby stały w sprzeczności z leninizmem.

IDEOLOGIA MARXIZMU

Ala poza tą przyczyną zabronowywania tej samej przeszłości, która jeszcze tak niedawno ta sama rewolucja tak brutalnie odbudowywała, istniała jeszcze inna, kto wie, czy nie znacznie nawet poważniejsza. Marksizm z jego pochodną — leninizmem — uważany jest przez świat burżuazyjno-demokratyczny za ideę nawroto materialistyczną, wyżyta całkowicie pierwiast-

ków duchowych. Oczywiście, jest to najzupełniej błędne, mówiąc językiem bolszewickim, nawroto „waskoklasowe“ podejście do zagadnienia. „Nie należy wysuwać własnej niecierpliwości jako argumentu teoretycznego“ — zacytuje w tem miejscu Engelsa po raz drugi. Leninizm oczywiście posiada swoją ideologię w najbardziej klasycznym tego słowa znaczeniu. Praktyka i cel leninizmu, to są sprawy leżące w zupełnie innych wymiarach; droga do celu, metoda i taktyka są nawroto materialistyczne, nawroto cyniczne — ideał jak najbardziej uduchowiony, bez względu na to, czy będziemy go oceniali jako fantazję, czy jako utopię. Jest to rodzaj „królestwa Boga“, na którego temat np. z ortodoksyjnym chrześcijaństwem nie może być żadnej dyskusji.

Zagadnienie walki klasowej nie jest tylko zagadnieniem społecznym i gospodarczym, lecz w równym stopniu etycznym — pisze znakomity współczesny filozof rosyjski Berdiajew, niegdyś marksista. Walki klasowej nie wymyślił Marx, tak jak Koch nie wymyślił gruzlicy, a Freud nie wynalazł psychoneurwicy. Inteligencko-burżuazyjne baidurzenie o Marxie i marksizmie przypomina pod wielu względami salonowe rozmówki o freudyzmie, który, „podobnie jak sennik egipski tłumaczy sny, i to w dodatku tem ciekawiej im bardziej są one nieprzystojne“. Marx jest tylko i wyłącznie próbą genjalnego, lecz teoretycznego rozwiązania zagadnienia walki klasowej, opartą na przesłankach materialistycznych, gospodarczo-społecznych. Dialektyka materialistyczna, jako metoda analizy rzeczywistości kapitalistycznej, jest funkcją marksizmu, lecz nie jest celem samym w sobie, tak jak nie jest celem samym w sobie freudowskie kojarzenie snów. Ortodoksyjni marksziści (w rodzaju Kautsky'ego) są równie ograniczeni jak ci, którzy gwoili uspokojenia się, mówią o przestarzałości i nieatrakcyjności „komunizmu“ i „marksizmu“, nie uświadamiając sobie, że dopóty nie przestaną być atrakcyjne, dopóki istnieje zagadnienie walki klasowej, i że marksizm, „nie będąc dogmatem“, ulega ciągłej ewolucji, ciągłemu rozwojowi i rozszerzeniom. Leninizm, to kolosalny krok w stosunku do „klasycznego“ marksizmu. Lecz w odróżnieniu już od leninizmu, mającego te same co marksizm założenia zlikwidowania światowego zagadnienia klasowej, leninizm „zaczyna“ proletariatu, leninizm w stosunku do zagadnienia rewolucji międzynarodowej, nie stanowi żadnego postępu naprzód. Jest on natomiast niezmierznie ważnym wkładem do taktycznej strony marksizmu, jeżeli chodzi o okres „pieriedyski“ i chwilowego akcja rewolucji na terenie jednego państwa. Coś tak jakby lekarz na Czelejnie dokonał wielkiego wynalazku w dziedzinie leczenia syfilisu, ale tylko dostosowanego konkretnie do warunków miejscowych; wynalazek ten nie miałby ogólnoludzkiego znaczenia, ale mimo to byłby cennym wkładem do ogólnej wiedzy lekarskiej. Stalinizm nie ma międzynarodowego, światowego znaczenia, jak leninizm, a coś dopiero marksizm. Zasługi Stalina dla rewolucji polegają nie na rozwoju teorii czy pchnięciu rewolucji światowej naprzód jakimś nowym „manifestem“ lub emocjonalną w światowej skali analizą w stylu „Kapitału“. Zasługi te sprowadzają się wyłącznie do utrzymania zwycięstwa rewolucji na terenie jednego państwa i takiego operowania tem państwem, że utopia przestała być w oczach międzynarodowego proletariatu utopią, a stała się faktem realnym. Zasługi te są tem większe, że przykład sowiecki nie jest i nie może być pokazowy, właśnie ze względu na teorię marksowską, że budowanie socjalizmu w Rosji nie jest rezultatem rozwoju kapitalizmu w tem państwie lecz wyłącznie owocem zorganizowanych wysiłków partji komunistycznej. W samem więc założeniu stalinizmu, w porównaniu z leninizmem, jest coś z rezygnacji, niejakie zawężenie ambicji i środków, pewna fanatyczna ofiarność dla rewolucji. Lenin, oszołomiony, ale jakby i przerażony zwycięstwem rewolucji w Rosji, sformułował już zupełnie wyraźnie opinię, że w wypadku zwycięstwa rewolucji w skali ogólnoswiatowej, Rosja, chociażby dokonała do tego czasu najkapitałniejszego wysiłku w kierunku budowy socjalizmu, odrzucał zepchnięta będzie na plan drugi. Budownictwo socjalizmu w krajach, doprowadzonych do rewolucji przez kapitalizm, z punktu musi dać znakomitsze i bardziej pozytywne rezultaty.

Bez względu na to fatum, które ciąży nad stalinizmem, jest on jako teoria i taktyka czystej krwi marksizmem, związanym ze swem protagonistą przedewszystkiem etyczno-ideową stroną zagadnienia. Ale ta strona ideowa, oparta na jak najbardziej międzynarodowych, jak najbardziej antypaństwowych przesłankach, najmniej nadawała się do utrzymania jej przy zmodyfikowanej dla Rosji ze względów taktycznych (przejściowej) już przez Lenina, marksowskiej teorii międzynarodowej-swiatowej rewolucji i wciśnięcia jej w okresie konstrukcyjnym w ramy jednego państwa. Państwo musi mieć przeszłość, by mieć przyszłość i cel. Ponura swą rzeczywistością i swą przeszłością Rosja zmuszona została do odegrania przedwznowy roli: zastąpienia światłeni wizji nowego świata.

Ala im większa jest konieczność tego taktycznego oparcia na przeszłości, tem bardziej brutalne jest łamanie wszystkiego co związane jest z właściwą Rosją.

RYSZARD WRAGA.

*) por. „Prawda Rosji sowieckiej“ w nr 83 „Wiadomości Polskie“.

M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

donosi że otworzył oddział w Stanach Zjednoczonych

pod ręką

M. I. KOLIN, Publishers Inc.
20 West 58th Street, New York

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

WIECZORY POD LIPĄ (BRYTYJSKĄ)

Krótką historja Polski dla młodzieży angielskiej

B A N D E R I A P R U T E N O R U M *

ZYCIE ZACZYNA SIĘ PO DZIESIĄTCE

Albo i wcześniej nawet! Tak, wcześniej znacznie, o, Ladies and Gentlemen, jeśli w grę wchodzi życie królów i królowych! Ileż to lat miał obecny król jugosłowiański w chwili, gdy po tragedji marsylskiej skończyło się na zawsze jego krótkie dzieciństwo a zaczęło się życie, życie przez wielkie Z? Ile wiosen liczy sobie dzisiejszy władca Iraku? Zda się, sześć latek, czyli jest to wiek niewiele większy niż ten, kiedy zaczęło się i skończyło zarazem życie tej małej, „dziewczki norweskiej”, która, przeznaczona na żonę synowi waszego Edwarda I, nie dojechała nigdy do swego królestwa. Biedactwo zmarło po drodze na morską chorobę... A statek był piękny i śpiżarnię zaopatrzono specjalnie dla trzyletniej, małej królowej Szkocji w orzechy, słodycze i smakołyki przeróżne, których zapewne nie tknęła. A ileż lat miał np. ów Jakób I, syn Roberta III, króla Szkocji, uwieczony przez Anglików? Jedenaście! I także, biedaczek, źle znosił podróż morską. I źle znosił... koronę. Albo ile lat mają ci piękni królewicze, których znamy z obrazu Millais „Książęta w Tower”?

Życie Jadwigi zaczęło się także bardzo wcześnie, już bowiem lat sześć mając, była naręczona austriackiego arcyksięcia, Wilhelma. Przeznaczona jemu na żonę, Węgrom na królową, została żoną Litwina Jagielli a królową Polski i Litwy. Na tron wstąpiła w dwunastym roku życia. Była dzieckiem. Musiała być królową.

STOPKA KRÓLOWEJ JADWIGI

W Krakowie, wmurowany w ścianę kościoła „na Piasku”, przechował się ślad jej stopy, czyli t.zw. „stopka królowej Jadwigi”. Ten ślad utrwalił w w. XIV murarz krakowski. Młodziutka królowa, która, choć dotąd nie kanonizowana, przecież w naszej tradycji i w naszej teraźniejszości występuje zawsze jako święta, widocznie już wtedy, za życia swego, cieszyła się u ludu miłością.

Miłość ta przetrwała wieki, niejako naprzekór nauce, która do życia Jadwigi zastosowała nieco inne kryteria niż lud. Wbrew nauce Jadwiga jest święta, jak wbrew nauce święty jest biskup Stanisław, zabity przez Bolesława Śmiałego, jak święty jest Bolesław Tomasz Becket. Jadwiga — „święta” — życie urok wielkiej tragedji i równocześnie otaczała ją aureola świętości. „Stopka”, ta mała stopka królowej-dziecka, jest dziełem przypadku: prawdopodobnie, zwiędając budowę kościoła, Jadwiga postawiła stopę na wapnie, które zachowało ślad. Miłość ludu do królowej była jak kapiel złota, utrwalająca jeszcze bardziej tę kłiszę z końca XIV w. Podobno Chrystus, czarny Chrystus, rozpięty na krzyżu w katedrze wawelskiej, przemówił do Jadwigi. Wierzyli w to ludzie ówczesni, zatem i my wierzymy. Tradycja mówi, że kiedyś królowa upomniała się o krzywdę, którą wyrządził jakimś biedakom, gdy zaś ową krzywdę naprawiono, zwracając zabrane mienie i placąc poszkodowanym sutą nawiązkę, Jadwiga spytała: „Tak, ale kto im żył zwrócił?”

Świętość Jadwigi jest świętością piękną. I piękna jest legenda o stopce, i legenda o słowach Chrystusa, i legenda o jej własnych słowach. Może dlatego właśnie wierzymy we wszystkie legendy o Jadwidzie? Dzisiaj wierzymy tam bardziej, że tak daleko jesteśmy od miejsc, których dotykała jej drobna stopa.

SZCZEGÓŁ NATURY KULINARNEJ

A przecież Jadwiga, choć zdawała się raczej unosić nad ziemią, stała się po niej swą stopą. Była to królowa mądra, zapobiegliwa i stanowcza we wszystkim co postanowiła. Umiała nawiązać bliskie stosunki z Rzymem, umiała krzyżaków trzymać twardą ręką, umiała zdobyć sobie szacunek władców Europy. Była sławną królową. Świętobliwa, dżinnie młoda, drobna, a przecież widziwna jak, jak konno i zbrojnie odbiera Grody Czerwienie. Widzimy potem jej objazd Litwy, gdy już z mężem wspólnie nawraca ten obcy, dzięki kraj na wiarę chrześcijańską. Umie- rzała zostawić po sobie wielką pamiątkę: fakultet teologiczny na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Choć niewątpliwie prowadziła żywot świętej, poszcząc i umartwając się, przecież... jadła. Nawet wiemy, co jadła. Zachował się mianowicie pewien dokument niezmiernie cenny, choć zarazem i prozaiczny. Nie bulla, nie dyplom, nie kodeks, ale rachunki dworu Jagielli. Dwór ten żył naprawdę z olówkiem w rękę, i rachunki owe odtwarzają nam wernie cały obraz życia wraz ze wszystkimi szczegółami. Wiemy np. z tych rachunków nie tylko jak nazywał się ów królewski, ale wiemy, ile kosztowała kracja tegoż konia. Wiemy, ile kosztował niemal dzień każdy, ile wynosiły wydatki w związku z przyjęciem rozmaitych gości, ile pito piwa, wiemy także i to szczegółowo, co jadano. M.in. w tych rachunkach znajduje się pozycja „pro intestinis dictis flaki” — groszy tyle a tyle.

I tu dochodzimy do kuchni, do znakomitej kuchni polskiej, której pozycja szczególnie mocną są właśnie „flaki” po polsku”. Spróbujcie ich w Polsce, Ladies and Gentlemen, i każećcie sobie dać drugą porcję! Są świetne!

BANDERA PRUTENORUM

O czasach tych wiemy tak wiele i wiemy

tak dokładnie, głównie dlatego, że w XV w. mamy już nie kronikarzy ale historyków, przede wszystkim Jana Długosza, który zamiast jedynie spisywać fakty, umie je badać i wiązać ze sobą. To już uczony, to znawca tekstów, to poszukiwacz źródeł, a przymtem pedant do tego stopnia, że na podstawie jego opisu można było ściśle odtworzyć w kilkaset lat później proporcje krzyżackie, czyli, banderia Prutenorum”, zdobyte w bitwie pod Grunwaldem. Czas nielitościwy zniszczył je swym zębem, ale dokładność, z jaką Długosz podał kształt każdego proporca, rozmiar, barwy i rysunek godeł, pozwoliły na rekonstrukcję bliźniaczo podobną do oryginalną.

MAŁŻENSTWO NIE WEDŁUG VANDERVELDE'A

Proporcje owe zdobyto w bitwie pod Grunwaldem, która zgruchotała zakon krzyżacki tak, że już nigdy nie zdołał podnieść się z upadku. Zwycięstwo polaczonych wojsk polskich i litewskich zawiadzać należało... małżeństwu Jadwigi z Jagiellą, a raczej małżeństwu Polski z Litwą. Jest to małżeństwo „mieszane”, nawet bardzo, bardzo mieszane. Zawarte zupełnie bez względu na przykazania „rasy”, jakby powiedzieli dzisiejsi Niemcy. I właśnie to mieszane małżeństwo przyniosło zarówno Polsce jak Litwie trwałe, długie szczęście.

Przypatrzmy się sprawie dokładnie: Polacy i Litwini. Zatem Słowianie i oni, ze słowianstwem nie wspólnego nie mający. Języki tak niepodobne, że latwiej Polacy dogadali się z Litwinami po chińsku niż po litewsku. Wiara inna, my katolicy z „Ahnenpassem” katolickim od czterystu lat zgóra, oni poganie zatawardzili, wężom, gadom, ogniom i świętym drzewom cześć oddający. Kultura obyczajowa zupełnie odmienna. U nas wolność i jej umiowanie, tam tyrania tak twarda, że gdy ktoś coś zbroił, książka kazała mu się samemu powiesić, inni zaś skazani samobójcę popędzali, mówiąc: „Wieszaj się prędzej, bo książkę gotów roznosić jeszcze bardziej!”... U nas szlachcic na zagrodzie już równy wojewodzie, za lat kilkadziesiąt królowi równy, którego zwać będzie „primus inter pares”. A różnica temperamentów obryzma: my — krewcy, porywiści, oni — spokojni, cierpliwi. Szkoci i Anglicy.

BIAŁA SZATA CHRZESTNA

Gdy Jagiello brał chrzest na Wawelu,

ochrzciła się z nim razem jego rodzina, więc m.in. brat stryjeczny, książę Witold. Historycy wyliczyli czarno na białem, że ów dzielny Witold chrzczył się nie po raz pierwszy w swym życiu, ale po raz... trzeci. Najpierw wziął chrzest według obrządku wschodniego, drugi raz dał się ochrzcić krzyżakom, na Wawelu zaś prawdopodobnie podstawił głowę pod wodę święconą dla solidarności rodowej. Może zresztą chciał być ochrzczony dodatkowo nie z ręki niemieckiej?

Nie był Witold wyjątkiem, ponieważ kilkakrotny chrzest zdarzał się w średnich wiekach dosyć często. Tak więc i całe gromady Litwinów dawały się chrzczyć po kilka razy z prostego wychowania, nowochrześcijańcem bowiem otrzymywał białą szatę w darze. Bardziej wyrafinowane jednostki robiły na tem niezły interes. M.in. przechowało się powiędzenie jakiegoś Litwina, który otrzymawszy szatę niezbyt czystą, rzekł: „Chrzczę się już po raz dziesiąty a pierwszy raz w życiu zdarza mi się, abym dostał tak brudną szatę!”

WOJNA NERWÓW W ŚREDNIOWIECZU

Polska Jagiellonów jest dopiero na progu swej wielkości. Związek między Polską a Litwą, początkowo tylko dynastyczny, przybiera z biegiem czasu kształt unji, zespoli oba państwa, uczyni z nich jedno. Nie dokonała tego zaborczość, obca zawsze Polakom, lecz dobra wola obu stron i zrozumienie wspólnego niebezpieczeństwa,

któremu jak dzisiaj tak i wtedy na imię „Niemcy”. Polska Jagiellonów będzie państwem największym w Europie środkowej i zarazem jednym z najpotężniejszych w świecie. Oba narody, złączone w myśl zasady „równi z równymi, wolni z wolnymi”, pójdą razem w dzieje, w wielkość, w słone słońce. I już u zarania wspólnej doli pójdą razem na wielką rozprawę z Niemcami.

Zakon rycerzy krzyżowych porósł w pierze od czasu, gdy ci, rzekomo pokorni mnisi, przybrani w białe, krzyżem zdobne płaszcze, zjechali nad dolną Wisłę, by walczyć z poganami. Pogan zabrakło, czyli skończyła się racja bytu krzyżaków. Ale Zakon, podobnie jak dzisiejsze Niemcy, żyje tylko wojną, nie będąc zdolny do pokoju. On już jest potęgą militarną o organizacji tak wojennej, jak organizacja dzisiejszych Niemiec, gdzie każdy dzień nazwać można „Partei-tag”-iem, gdzie każda myśl i każda godzina służy tylko wojnie, gdzie wojna się oddycha i wojna się modli, gdzie cała miłość skupia się dookoła wojny, cała nienawiść dookoła pokoju.

Przed startem się z Polakami krzyżacy rozpoczynają wojnę nerwów, zdradzając już wtedy to mistrzostwo, do jakiego dojdą Niemcy XX w. Równocześnie z wojną nerwów idą u nich zbrojenia i kampania dyplomatyczna. Przedewszystkiem głoszą, jak Europa długa i szeroka, że dzieje się im krzywda. Rozdzierają szaty, opowiadając o rzekomych gwał-

tach, których są ofiarą. Kłamią. Falszują dokumenty, powołując się na jakieś prawa, na jakieś nieistniejące nadania. Propaganda ich, głośna, hulaśliwa, natrętna, dociera wszędzie. Do Rzymu, do cesarza, na dwory wszystkich władców Europy. Ich listy, wysyłane do całego świata, to jakby dzisiejsze książki białe, czerwone, niebieskie, głównie czarne od kłamstwa, które na wszystkie fale nadaje ich „rozgłośnia” malborska. Szukają usprawiedliwienia, chcą się wybielić w oczach świata. Zbroją się ustawicznie, twierdząc że są miłośnikami pokoju, Polaków zaś przedstawiają jako okrutnych barbarzyńców, jako napastników. Cały wysiłek ich idzie w tym kierunku, by na zewnątrz wydawało się że nie oni zaczęli. Ale zaczęła pierwsza! Są przecież Niemcami!

Życie na pograniczu staje się czemś nie do zniesienia. Krzyżacy napadają na zamki i fortece polskie, zapędzają się w Litwę, paląc i niszcząc. Okrucieństwo ich omal nie dorównywa okrucieństwu, które umieli tak naukowo i precyzyjnie rozwijać w krajach okupowanych obecnie, przedewszystkiem w Polsce dzisiejszej. Wysłannicy ich podjudzają jednych książąt i możnowładców przeciwko innym, przekupując, macąc wodę, przedewszystkiem strasząc potęgą Zakonu.

Słowo „wojna” wisi na ustach wszystkich, eksploduje jest już bliska. Od śmierci Jadwigi staje się rzeczą jasną, że do starcia dojdzie musi. Sława imienia tej królowej, sława jej świętości wstrzymywała krzyżaków, jak Jagiellę wstrzymywało od wypowiedzenia wojny to że sam do niedawna był poganinem i że Zakon miał krzyż w swym godle. Lecz mimo wszystko Jagiello musi przyjąć narzuconą sobie wojnę. Jak każdy, kto ma Niemca za sąsiada.

PRZEWAGA TECHNICZNA

Zakon jest jedną wielką kuznią broni, i to broni nowoczesnej w porównaniu z tem, na co mogła zdobyć się Polska. Każdy rycerz krzyżacki zakuty jest w stal, ze strony przeciwnej tylko niektóre polskie chorągwie i zaciężne hufce czeskie mogą bodaj w pewnej mierze sprostać krzyżakom w tym względzie, podczas gdy Litwini pójdą do walki z gołą pierśią, półnagzy, zbrojni w sprzęt pierwotny, tarcza drewniana osłonięci. Chłopi polscy pójdą nawet bez tarcz, w rękach dzierząc

Krzyżacy mają już armaty, model 1410, czyli najnowszy w owych czasach krzyk techniki wojennej. Huk straszliwy tych armat wstrząśnie powietrzem Europy wschodniej po raz pierwszy w bitwie pod Grunwaldem. Krzyżacy mają coś więcej prócz armat: mają jakby bomby zapalające, o których wspomina historyk Długosz.

Pewni zwycięstwa, ciągną ze sobą na tę wojnę ogromne wozy, naladowane dybami i łańcuchami, które dla jeńców polskich przycgotowali. Sami we własne pięta popadną! Tuż przed rozpoczęciem bitwy przysyłają Jagielle dwa miecze, mówiąc, że ofiarują mu je, ponieważ Polska ma za mało broni. Sami od tych mieczów polegną! Jak Hitler dzisiaj przez radio mówi z pychą, że gotów ułatwić Anglii próbę inwazji kontynentu, wycofując swe armie z tego odcinka brzegu, który sama Anglia wyznaczyła, tak wielki mistrz przed bitwą pod Grunwaldem cofa swe siły, ustępując pola, by wojska polskie i litewskie mogły się rozwinąć. Zginą na tem polu krzyżacy! Zginie wielki mistrz!

GRUNWALD

Słowo to jest skrzydlate. Ono szumi i śpiewa. Ono tętni. Ono jest gorące. I czerwone. Sa w niem akordy prastarej pieśni „Bogu Rodzica”, którą rycerstwo polskie pod Grunwaldem śpiewało. Jest w niem równy, miarowy głos modlitwy „Zdrowaś Marja...”, powtarzanej przez chłopów polskich, gdy runęli na krzyżaków. W tem słowie jest tętet konnicy polskiej. W tem słowie „Grunwald” jest zwycięstwo.

Każde dziecko polskie wie, co to był Grunwald. Każdy Polak pamięta datę 10 lipca 1410 r. I pamięta ją także każdy Niemiec. Dlatego też, zając się Kraków we wrześniu 1939 r., Niemcy natychmiast zburzyli pomnik grunwaldzki, ufundowany przez Paderewskiego w pięćsetną rocznicę tej bitwy. Ale my wrócimy i wzniesiemy nowy pomnik na tem samym miejscu. Większy i wspólniejszy.

Gdy nam jest teraz źle, gdy ciągle jeszcze trwa mrok „black-out” u naszej tułaczki, gdy z kraju naszego straszną przychodzą wieści, powtarzamy sobie z wiarą to słowo „Grunwald”, w jego bowiem dźwięku jest zapowiedź zwycięstwa. Ono głosi radosne, promienne „all clear!”. Powtarzając słowo „Grunwald”, mamy także w pamięci to, co wyrzekł król Jagiello, mówiąc do swego kiego mistrza: „Patrzcie, jak zgrana jest pycha i wyniosłość wobec Boga. Oto ten, który wczoraj tyle królestw i państw swojemu przeznaczal panowaniu, któremu zdawało się że w potęgę nie miał sobie równego, leży pozabawiony wszelkiej swoich pomocy, niedźwie zabity, okazując swoim upadkiem, o ile duma niższa jest od pokory!”

Słowa zwycięskiego króla przekazał nam historyk Długosz w opisie bitwy grunwaldzkiej. Thumaczmy jej sobie na język dzisiejszy, i wiara nasza rośnie, umacnia się, wiemy bowiem, że po raz wtóry spełni się proroctwo św. Brygidy, tak jak spełniło się na polach Grunwaldu. „Nadszedł czas, iż wylamane są ich zęby i odcięta jest ich ręka prawa!”

Ten czas nadejdzie. Nie wątpimy ani na chwilę.

WARSZAWA I KOWNO

Największy malarz polski, Matejko, je twórcą obrazu p.t. „Grunwald”, podobnie jak największy prozaik polski, Sienkiewicz, jest autorem wspaniałej powieści „Krzyżacy”, tłumaczonej na wszystkie języki świata. Są aż cztery przekłady angielskie, obecnie zaś powstaje przekład piąty skości, doskonałszy od poprzednich. Dla was, Ladies and Gentlemen, tłumaczmy jeszcze raz tę książkę, która jest znakomitą, polecenia godną lekturą, zwłaszcza do schronu. Czytać ją najlepiej podczas loskotu bomb i artylerji przeciwlotniczej, ponieważ jej słowa dają pewność, że niebawem we schronów wyjdziemy na słońce. I na zwycięstwo.

Obraz Matejki wisiał w muzeum w Warszawie. Gdy po wojnie światowej powstało państwo litewskie, jego stolica, Kowno, zamówiło sobie odrazu kopję dla swego muzeum. Przyjaźń polsko-litewska wygłasza w ciągu długich lat niewoli i nie rozpalia się ponownie w chwili, gdy oba państwa odzyskały wolność. Boczyliśmy się na siebie i kłóciły ze sobą, ale orygin „Grunwaldu” był w Warszawie, kopia zaś w Kownie.

Dzisiaj? Nie wiem, co stało się z oryginałem. Albo uległ zniszczeniu podczas obrony Warszawy, albo ukryto go gdzieś i schowano do lepszych czasów, albo też Niemcy ściągali go ze ściany muzeum. Kopia kowieńska pewnie także zniknęła.

W słowie „Grunwald” kryje się wielka nauka. Zwycięstwo to jest zwycięstwem poległych sił Polski i Litwy, któreby osobno nie tylko zwyciężyły, ale nawet obronić się nie mogły. Pod Grunwaldem niemiecki „Drang nach Osten” zderyżował się z żywiołem słowiańskim Zachodu, obok Polaków bowiem walczyli tam Rusini. Nadto, dziś, gdy cementuje się federacja polsko-czechosłowacka, musimy pamiętać, że w bitwie pod Grunwaldem brali udział i Czesi pod wodzą sławnego Żizki.

Tylko dzięki połączeniu sił polskich i litewskich bitwa pod Grunwaldem, jedna z największych bitew świata, przyniosła nam zwycięstwo, w którym zdobyliśmy pięćdziesiąt jeden „banderia Prutenorum”.

Powiada mądre, łacińskie przysłowie, że „historia est magistra vitae”.

SKŁADY APTECZNE • DROGERJE

PROSIMY wszystkich Polaków przebywających w Anglii aby zwracali się z zaufaniem ośobiście lub drogą pocztową z receptami i z wszelkimi zapotrzebowaniami farmaceutycznymi lub medycznymi do składów aptecznych:

John Bell & Croydin, 50/52, Wigmore Street, W.1 (służba dzienna i nocna)

Wm. Martindale, 75, New Cavendish Street, W.1

Wallas & Co., 45, New Cavendish Street, W.1

wszystkie pod ścisłą kontrolą

SAVORY & MOORE LIMITED

Aptekarzy Jego Królewskiej Mości

143, New Bond Street

LONDON

W.1

ARKADY FIEDLER

RAZ NA WOZIE, RAZ POD PODWOZIEM*)

z cyklu „Dywizjon 303”

Bitwa wre, dzień w dzień wdzierają się na niebo Anglii niemieckie bombowce. Biją jak taranem w ów bastion, aby go skruszyć i zburzyć. Niemcy są zdumieni: bastion wciąż się trzyma. Niemcy są wściekli: bastion nadal się broni.

W trzecim tygodniu bitwy najeżdźcy stwierdzają, że jeszcze nie opanowali powietrza Anglii, więc zmieniają taktykę: całą swą powietrzną potęgę, cały napór swej Luftwaffe rzucają na jeden cel, brytyjskie myśliwstwo. Należy je raz na zawsze wypłenić z korzeniem. Przez pełne dwa tygodnie — pod koniec sierpnia i na początku września — bombowce ich szaleją przeciw angielskim lotnikom, podczas gdy niemieccy myśliwcy starają się wypłenić przeciwnika w powietrzu.

Lecz przeciwnik wciąż się broni. Niemcy, upojeni butą, tego nie rozumieją. Obwieścili już światu swe zwycięstwo, że Anglie zgnetli, że opór jej złamali, a tymczasem codziennie odnowa na ich spotkanie zrywają się z ziemi brytyjskie eskadry, niegniezione, niezłamane, śmiałe, odpierają ciosy, szarpia wroga i zadają mu rany trzykrotnie liczniejsze niż same ponoszą. Walka uporczywa i nadludzka z brutalną przemocą, a jednak codziennie nacierające fale rozbijają się o twardej granit brytyjski. Niemcy nie przewidywali, że jest tak twardy.

W owym okresie, dn. 5 września 1940 r., polski dywizjon 303 odniósł chwalebne zwycięstwo. Na ogólną liczbę 39 niemieckich samolotów, straconych tego dnia, zestrzelił 8, sam ponosząc stratę tylko jednej maszyny, przyczem raniony myśliwiec ocalał.

Następny dzień, 6 września, w planach niemieckich miał być sądny dzień dla myśliwstwa brytyjskiego i miał rozniesić je całkowicie. Od samego rana Niemcy przybywali w jeszcze większej niż dotychczas liczbie i użyli nowego sposobu, nader niebezpiecznego dla obrońców Anglii: myśliwcy ich nie tylko towarzyszyli bombowcom jako osłona, lecz nieależnie od nich zasiali całe niebo patrolującymi dwójkami, tworząc żywy pomost od brzegu Kanalu daleko w głąb kraju.

Niebo wyglądało jak akwarjum z wieloma rybkami! — oświadczył później jeden z myśliwców, walczących tego dnia.

Dywizjon 303 wystartował o godz. 8.45 z 9 maszynami. Radio z ziemi, jak zwykle, wyznaczało kierunek lotu, południowo-wschód. Po przebyciu połowy drogi między

Londynem a wybrzeżem myśliwcy zauważyli ową niepokojącą zjawiskę: niezliczone patrolne Messerschmittów. Szły dwójkami bardzo wysoko, na palupie nieosiągalnym dla Hurricane'ów. Niektóre z nich krążyły w jednym miejscu, inne, zataczając esy, posuwały się ku północy w głąb Anglii. Z ziemi nie było ich wcale widać na tej wysokości, natomiast obecność ich zdradzały białe smugi powietrza, jakie samoloty pozostawiały za sobą. Na niebie, czymś jak kryształ, smug było coraz więcej, i w końcu wyglądało to jak gdyby niewidzialny pajak zarzucał na cały kraj obryzmy, złowieszcza pajęczynę. Groźny pajak naprawdę gotował zasadzkę.

Dywizjon, pomimo obecności przeważającego wroga po nad nim, leciał w nakazanym kierunku. Wyteżał całą swą czujność, pilnując góry i tyłu. Leciał bardzo niewygodnie, pod samo słońce, osłepiające oczy; trudno było śledzić, co się działo na przedzie. Unosiła się tam mleczna, zamglona poświata, pełna słonecznych polysków, zaczajonych tajemnic i niespodzianek.

W pewnej chwili z tej białej zasłony wyłoniło się zgromowienie niemieckich bombowców. Sunęło w kierunku na Londyn i właśnie miało Polaków o jakie 2000 m. na prawo. Miało za sobą osłonę z Messerschmittów, którą w tej chwili atakowały Spitfire'y w sile jednego dywizjonu. Drogą sposobność! Dowódca polskiego dywizjonu bez namysłu decyduje się na natarcie i zataczając skręt w prawo, rzuca się na pełnym gazu w stronę bombowców. Dywizjon cały idzie za nim.

Daleko nie zaszedł. Z góry spada sarańcza. Jak wściekle psy gońcące, zleciały się nagle Messerschmitty z przodu, z tyłu, z boków. Z potrójną przewagą: wysokości, szybkości i słońca, w dodatku czwartej przewagi: p-tylającej ilości — zaatakowały 9 n. śliwców. Atak był druzgocący. Zaraz na pierwszy ogień poszedł samolot mjr. Krasnego, dowódcy dywizjonu. Sam major, jeden z najznakomitszych myśliwców polskich, ciężko poparzony, ratował się spadochronem.

Wartość bojowa myśliwka wybija się nie tylko w ataku, lecz również i w oronnie, przedewszystkiem w oronnie. Podczas gdy każdy żołnierz lądowy ma ziemię i łatwy sposób ukrycia się przed pociskami wroga, myśliwiec na 6000 m wysokości nie ma dookoła siebie nic, prócz pustego powietrza: ratuje go jedynie błyskawiczny manewr i wyjątkowa, nadprzyrodzona przytomność umysłu.

Gwałtowny atak Messerschmittów w tak dogodnych dla nich warunkach powinien był zniszczyć w pierwszym uderzeniu wszystkich 9 myśliwców; zniszczył tylko jednego. Reszta wyrwała się karkołomne-

mi wywrotami z kleszczy i już w następnej sekundzie wytrącała Niemcom ich przewagę zaskoczenia. Ich pociski były w próżnię. Zawrzała walka. Związały się pojedynki. Powstał nieopisany chaos: dywizjon 303 wyszczerzył swe zęby bojowego wygi i wysunął zadzierryste pazury. Nie dał się sprzątnąć — odrazu.

Por. Witur, na widok zbliżającego się złotego pyska Messerschmitta, odruchowo ściga drażek sterowy i ostro skręca samolot, aż w oczach mu ciemnieje. Przeszywa go bolesna świadomość, że w chwili tej słabości zestrzelił go nieprzyjaciel. Nie zestrzelił. Po odyskaniu przytomności Witur widzi Messerschmitta przed sobą, nurkującego. Rzuca się na niego. Krąży dookoła siebie raz, jeszcze raz. Coraz wężej, coraz drażniej. Za trzecią rundą Witur dociera do ogona przeciwnika i strzela z odległości 60 m. Pierwszy pałacy się Messerschmitt wypada z walki.

Sierżant Kar, mały, zawzięty Kar, kończy tymczasem drugiego Messerschmitta, a widząc poníž 3 bombowce, Heinkle 111, pikuje na nie, obyspując je gradem pocisków i maszynę z prawego boku strąca w płomieniach — lecz w tej chwili, sam trafiony pociskiem armatki, ratuje się wywrotem. Raniony w nogę i udo, z potuconiem się zegarami, z wyrwanym bokiem kabiny i poszarpanym skrzydłem, żalony inwalida, jednak cały lądzie gdzieś na łakach południowego Kentu. Żanin go rozchrupali, odgrzali się walecznie.

Sierżant Życz pędzi na pomoc Spitfire'owi, który leci prosto, jakby nie widział o tem że na ognie siedzi mu Messerschmitt i grzeje do niego jak do tarczy. Życz dopada Niemca, który po dwóch serjach wykrecą się przez plecy i z dymem wali w dół. O chwilę za późno: Spitfire również dymi, a pilot jego wyskakuje z kabiny.

Tymczasem z różnych stron nieba zlatują się wciąż nowe Messerschmitty. Prawdziwa zgraja głodnych szakali, weszycych pewny żer. Wszystkie jak zapamiętałe pędzą w to jedno miejsce. Jest ich w końcu przeszło sto. Jest ich tak wiele, że w zgłętku przeskakują sobie samym. Hurricane'ów i Spitfire'ów, które jeszcze pozostały, nie stać już na normalną walkę. Wykonują tylko same obronne uniki. Wykręcają się rozpaczliwie jak piskorze, lecz wysynkając się jednym, innym wpadają pod karabin. Ale nawet w takich tarapatkach nie tracą ducha.

Oto por. Oxowi, samemu ściganemu, nawiąja się na celownik lekkożytny Messerschmitt jak wymarzony obraz. Dłuższa seria: czarne krzyże się pała. W powstaniem zamieszania Ox pikuje kamieniem i szczęśliwie odrywa się od nieprzyjaciela. Gorzej powodzi się kpt. F. On także zwala jednego Messerschmitta, lecz sam roztra-

skany, musi skakać ze spadochronem.

Mińło natarzenie walki, dramat się kończy. Umknęły z palupki ostatnie Hurricane'y i Spitfire'y. W powietrzu hurricanie Messerschmitty, lecz i one, wyczerpane walką, czempredziej wracają do Francji na resztkach paliwa. Pustoszeją przestworza; warkot zanika. Cisza znów nastaje nad wzgórzami Wealdy i dolną Kentu. Na ziemi dopada się kilkanaście samolotów. Z ospalą ciepłością wciąż jeszcze opada kilka spadochronów jak wielkie pieczarki z nieba. Niebo nad Anglią jest pogodne.

Dywizjon 303 poniósł tego dnia dotkliwie straty: na 9 maszyn ma 5 zniszczonych i 4 myśliwców rannych. Zabitych żadnych. Natomiast maszyn niemieckich dywizjon pięć skości, doskonałszy od poprzednich. Dla was, Ladies and Gentlemen, tłumaczmy jeszcze raz tę książkę, która jest znakomitą, polecenia godną lekturą, zwłaszcza do schronu. Czytać ją najlepiej podczas loskotu bomb i artylerji przeciwlotniczej, ponieważ jej słowa dają pewność, że niebawem we schronów wyjdziemy na słońce. I na zwycięstwo.

Obraz Matejki wisiał w muzeum w Warszawie. Gdy po wojnie światowej powstało państwo litewskie, jego stolica, Kowno, zamówiło sobie odrazu kopję dla swego muzeum. Przyjaźń polsko-litewska wygłasza w ciągu długich lat niewoli i nie rozpalia się ponownie w chwili, gdy oba państwa odzyskały wolność. Boczyliśmy się na siebie i kłóciły ze sobą, ale orygin „Grunwaldu” był w Warszawie, kopia zaś w Kownie.

Dzisiaj? Nie wiem, co stało się z oryginałem. Albo uległ zniszczeniu podczas obrony Warszawy, albo ukryto go gdzieś i schowano do lepszych czasów, albo też Niemcy ściągali go ze ściany muzeum. Kopia kowieńska pewnie także zniknęła.

W słowie „Grunwald” kryje się wielka nauka. Zwycięstwo to jest zwycięstwem poległych sił Polski i Litwy, któreby osobno nie tylko zwyciężyły, ale nawet obronić się nie mogły. Pod Grunwaldem niemiecki „Drang nach Osten” zderyżował się z żywiołem słowiańskim Zachodu, obok Polaków bowiem walczyli tam Rusini. Nadto, dziś, gdy cementuje się federacja polsko-czechosłowacka, musimy pamiętać, że w bitwie pod Grunwaldem brali udział i Czesi pod wodzą sławnego Żizki.

Tylko dzięki połączeniu sił polskich i litewskich bitwa pod Grunwaldem, jedna z największych bitew świata, przyniosła nam zwycięstwo, w którym zdobyliśmy pięćdziesiąt jeden „banderia Prutenorum”.

Powiada mądre, łacińskie przysłowie, że „historia est magistra vitae”.

Naczelný Wódz (—) SIKORSKI.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI.

*) por. „Przedstawiamy się!” w nr. 64, „Wiek drewniany” w nr. 68, „Germański miecz — tatarska strzala” w nr. 72, „Król-Yard” w nr. 77, „Tut-ench-Amun z Wawelu” w nr. 80 „Wiadomości Polskich”.

ADAM PRAGIER

BŁĘDY JONA EVANSA

Jon Evans zebrał i zestawiał umiejętnie materiał informacyjny o okupacji niemieckiej w Polsce*, dostarczony mu przez polskie urzędy państwowe w Londynie. Wywody jego wskazują, że Polska została wybrana za teren eksperymentalny; tu Trzecia Rzesza wypróbuje metody, które zamierza stosować w swojej kolonizacji europejskiej we wszystkich krajach zajętych.

Część sprawozdawcza ksiądzki Evansa nie nasuwa żadnych wątpliwości, jednak dość często wypowiada on swoje własne poglądy i informacje polityczne, a te wymagają, niestety, znacznych sprostowań oraz zastrzeżeń.

Evans uważa w zasadzie ideę Europy, jako jednej całości gospodarczej, za słuszną. Skłonny jest uznać pogląd, że zadanie przeprowadzenia koordynacji części składowych Europy w jeden system gospodarczy przypadać powinno w udziale państwu położonemu najbardziej centralnie i mającemu najliczniejszą ludność. Uważa, że zapewnienie pokoju i stabilizacji gospodarczej oraz położenie końca rywalizacji państw narodowych byłoby dostateczną nagrodą za uszczerbek w dumie narodowej państw, których suwerenność doznabyła przez to uszkodzenia. To co się dzieje w Polsce przekonało go ooprzawda, że „New Order” nie jest taką koordynacją i że okupację niemiecką w Polsce należy uważać raczej za przestrożę dla reszty Europy. Ale z tego wszystkiego nie wysuwa oczywistego i niezbędnego wniosku; mianowicie, że trzeba poddać rewizji właśnie samą ideę uszczelnienia kontynentu Europy przez koordynację narzuconą z góry.

Idea organizacji Europy jako jednej gospodarczej, jeżeli nie ma to być „New Order” hitlerowski, czy jakkolwiek inny, pod odmienną nazwą, ale bardzo podobny, nie może być oparta na misji jednego państwa jako czynnika rządzącego, lub choćby koordynującego w stosunku do innych, lecz musi wynikać z samej woli współzależności zainteresowanych państw. Inaczej zawsze dominować będzie interes owego państwa koordynującego w stosunku do reszty państw europejskich, jakkolwiek nie wyrażałby on się być może, w takich dziłkach formach jak w okupacji Trzeciej Rzeszy. Trzeba przeto zerwać z racjonalistyczną utopią jednolitej Europy, narzuconą z góry, a trzeba szukać tej jednolitej raczej na trudniejszej i bardziej zmutnej drodze organizowania narodów kontynentu w trybie dobrowolnej współpracy. Tylko to zabezpiecza jednocześnie ład i wolność w Europie. Szczególnie donosiła rola arbitrowi przypisać może w tej dziedzinie państwom bezpośrednio w sporach kontynentalnych nie zainteresowanym: Wielkiej Brytanii i Stanom Zjednoczonym.

Gwarancje brytyjską, udzieloną Polsce, nazywa Evans „masterpiece of inaptitude” i twierdzi, że celem jej nie było powstrzymanie Trzeciej Rzeszy od wojny w ogóle, ale raczej skierowanie jej zapędów wojennych przeciw Rosji sowieckiej. Podziela pogląd Evansa, że byłoby lepiej, gdyby zamiast gwarancji brytyjskiej doszedłaby do skutku układ zbiorowy między Wielką Brytanią, Francją, Polską i Sowieciami. Ale pamiętać trzeba, że wina za niedojście do skutku tego układu nie wynikała z samej tylko niechęci ówczesnego rządu polskiego, ale również z organicznej niechęci ówczesnych rządów brytyjskiego i francuskiego do zawarcia szczerzego porozumienia z Rosją sowiecką. Stalin miał od dawna słuszną przyczynę do przypuszczania, że rządy obu tych państw widziałyby chętnie atak Trzeciej Rzeszy na Rosję. Dostosował więc do tego swoją politykę zagraniczną, i jak później wypadki okazały, udało mu się odwrócić ten atak w kierunku zachodnim — na niedługi czas. Dlatego bardzo szczeniła „volte face” Chamberlaina mogła się być wypowiedzieć nie inaczej, niż tylko właśnie w formie gwarancji danej Polsce. Był to krok rozrząpczy, który oczywiście wojny odwrócił już nie mógł, ale kończył przynajmniej samobójczy „appeasement” i zapowiadał, że dalsze akty agresji Trzeciej Rzeszy napotkają na opór. Polska bilaby się w każdym razie o całość swoich granic — także i bez gwarancji brytyjskich. Opór Polski nie trwałby zapewne ani o dzień krócej, bo jak wiadomo, ani Wielka Brytania ani sojusznica Francja nie zdołały dać Polsce żadnej pomocy. Ale gdyby tej gwarancji nie było, Niemcy rozsiadłby się szerzej w Europie, bez wojny powszechnej, i ta niemiarkowana wojna rozpoczęłaby się nieco później w warunkach dla państw zachodnich jeszcze o wiele gorszych. Dlatego sądzić, że gwarancja Chamberlaina, jakkolwiek z punktu widzenia zapobieżenia wojnie bezskuteczna, była chyba jednym rozsądnym krokiem, jaki ten polityk uczynił pod koniec swojej kariery; mianowicie była uroczystym potępieniem i zarazem zaprzeczeniem całej jego dotychczasowej polityki. To, że Wielka Brytania znalazła się potem naraz w stanie wojny bez przygotowania, wynikało oczywiście nie z tej gwarancji, ale z całego minionego dwudziestolecia, które było nieprzerwaniem pasmem błędów i przewin. Z tej polityki żadna miara nie mogło wyrósnać współdziałanie z Rosją, a tem samem nie mogło być też oczywiście mowy o wywieraniu przez Wielką Brytanię i Francję wpływu na Polskę, by zechciała współdziałać z Rosją w organizacji bezpieczeństwa zbiorowego na wschodzie Europy. Do takiej decyzji nie był zdolny także i sam plk. Beck, oraz ci, którzy Polską wtedy rozdzili. Ale główną winą ciąży oczywiście na tych, w których ręku spoczywała wówczas polityka o kierunku całej polityki europejskiej. Polityka brytyjska w tym czasie, nawet gdy stwarzała pozory dążenia do porozumienia z Rosją, szukała w ist cie porozumienia z Trzecią Rzeszą. Przeciwnie w chwili kiedy przygotowywała się w Moskwie konferencja porozumiewawcza Francji, Wielkiej Brytanii i Sowieci, Chamberlain podejmował naiwną próbę kupienia od Hitlera pokoju, za cenę udzielenia mu pożyczki w kwocie milarda funtów.

Pisząc o kształtowaniu granic polskich, Evans opowiada niestworzone historie o Galicji i o walce narodu „galicyjskiego” o niepodległość, w której ten nieszczęśliwy naród uległ, niestety, przemocy Polaków. Szkoda, że Evans nie postarał się o zebranie także i w tej sprawie informacji, które byłyby go uchroniły od błędów. Wyobraża on sobie, jak się zdaje, że w Polsce przed wojną istniał jakiś kraj „Galicja”, zamieszkały przez naród galicyjski, który w r. 1795 dostał się pod panowanie Austrii. Po rozpadnięciu się monarchii austro-węgierskiej, „Galicjanie” skorzystali ze sposobności i ogłosili niepodległość jako Republika Zachodnioukraińska. Ponieważ zaś od traktatu brzeskiego (marzec 1918) istniała już — jak powiada — niezależna Republika Wschodnioukraińska, przeto obie

te republiki w styczniu 1919 r. wstąpiły w związek federacyjny. Na konferencji pokojowej „Galicjanie” walczyli dzielnie o niepodległość, ale nie mieli niestety, powodzenia. Państwa sprzymierzone przyznały Galicję Zachodnią Polsce, jakkolwiek Polacy są tam w wielu okęgach w mniejszości. Galicja Wschodnia mogła była jeszcze uratować swoją niepodległość, albo przynajmniej polaczyć się ze wschodnią Ukrainą (z którą, jak przedtem pisał, była już przecież sfederowana!), ale i to okazało się niemożliwe, bo Polacy wysłali do Galicji wojsko i podbili ten kraj ostatecznie w lipcu 1919 r. Mimo to, i potem jeszcze Ukraińska Rada Narodowa pozostała faktycznym rządcą tego kraju. Nie wiem czy Evans sądzi, że rada ta sprawowała swoje rządy aż do r. 1939, bo o tem nie nie pisze.

Szkoda, że nikt nie wyjaśnił Evansowi jak te rzeczy wyglądają naprawdę. Niechże więc Evans zapamięta sobie na przyszłość co następuje: nazwa „Galicja” pochodzi z austriackiej łaciny kameralnej, od zlatynizowanego słowa Halicz. Pełna nazwa tej prowincji, nabytej przez Austrię przy trzecim rozbiore Polski, brzmiała: Królestwo Galicji i Lodomerji wraz z Wielkim Księstwem Krakowskim i księstwami Oświęcimskim i Zatorskim. Kraj ten obejmował najróżniejszą dzielnicę Polski — Małopolskę, wraz z ówczesną stolicą Polski Krakowem (do r. 1846 — wolne miasto), oraz na wschodzie ziemię o ludności mieszanej polskiej, ukraińskiej i — w miastach — żydowskiej. Nazwa Galicji, nadana temu przypadkowemu lewemu dawnych prowincji polskich, wymyślona została przez urzędników austriackich dla zataczenia historycznego polskiego charakteru tego kraju. Stąd wywodzi się też śmieszne słowo „Lodomerja”, dziwoląg biurowej filologii austriackiej, wyprowadzony od miasteczka Włodzimierza. Naród galicyjski nie istniał nigdy, i żadni Galicjanie jako żywo nie walczyli nigdy o swoją niepodległość i nie domagali się uznania na konferencji pokojowej. Nie jest też prawdą, że po upadku Austrii Galicja ogłosiła się Republiką Zachodnioukraińską i weszła w związek federacyjny z Republiką Wschodnioukraińską. W istocie w chwili upadku Austrii, dn. 28 października 1918 r. powstał w Krakowie rząd dzielnicowy p.n. Polskiej Komisji Likwidacyjnej, którego siły zbrojne rozproszyły resztki żałog austriackich. We wschodniej części Galicji polki austriackie, rekrutowane spośród tamtejszej ludności ukraińskiej, wywołały przy pomocy oficerów sztabowych Niemców, powstanie ukraińskie. Lwów, główne miasto tego obszaru, zostało częściowo zajęte przez powstańców ukraińskich dn. 1 listopada 1918 r. Początkowo sama ludność miasta, w ogromnej większości polska, broniła się skutecznie, potem przyszły posiłki wojskowe z Krakowa, które łącznie z ludnością, wypędziły Ukraińców dn. 25 t.m. Zajęcie reszty obszaru byłej Galicji Wschodniej, dokonywane bardzo nieznacznie siłami polskimi, wymagało jeszcze kilku miesięcy czasu. Oczywiście jest rzeczą, że nawet obszar zajęty na krótki czas przez powstańców ukraińskich, nie mógł być wejść w żaden związek federacyjny z rzekomo niepodległą Ukrainą, albowiem w czasie gdy w okrogu lwowskim trwałoby się powstanie ukraińskie, t. zw. Republika Ukraińska, organizowana przez Niemców na wschód od Zbrucza, przy pomocy tamtejszego quilinga, gen. Skoropadskiego, przestała już istnieć i Ukraina stała się częścią Związku sowieckiego. Knowania niemieckie już wtedy dążyły do utworzenia z Ukrainy bastionu wypadowego na Europę południowo-wschodnią, i temu celowi agresji niemieckiej służyła zarówno Ukraina gen. Skoropadskiego jak i powstanie ukraińskie w byłej Galicji Wschodniej. Ze źródeł propagandy niemieckiej pochodzi też niewiaryliwie nieprawdziwa wiadomość podana przez Evansa, że po upadku powstania jakaś Ukraińska Rada Narodowa trwała dalej i „remained virtual ruler of the country”.

Nieprawdą informację podaje też Evans o t.zw. linii Curzona, twierdząc że konferencja pokojowa pagnęła ustanowić tę linię jako granicę państwową między Polską a Rosją sowiecką. W rzeczywistości dn. 8 grudnia 1919 r. Rada Najwyższa Państw Sprzymierzonych upoważniła Polskę do ustalenia na obszarze położonym na zachód od tej linii, normalnej administracji państwowej, zastrzegając jednocześnie wyraźnie prawo Polski do żądań terytorjalnych na wschód od tej linii. Nazwę „linii Curzona” otrzymała ta linia demarkacyjna w dwa lata później, gdy lord Curzon zaproponował Polsce w czasie inwazji bolszewickiej w r. 1920 wycofanie wojsk polskich na zachód od tej linii, jako zamierzonych linii rezerwy wojskowej. Nigdy więc linia Curzona nie była rozumiana jako granica polsko-rosyjska, lecz w obu wypadkach miała znaczenie prowizorycznej linii demarkacyjnej. W do datku linia ta była odrzucona zarówno przez Polskę jak i przez Rosję sowiecką. Evans wspomina, że Polska tej linii nie przyjęła, ale przemleża, że także Rosja odrzuciła ją bardzo kategorycznie i zaproponowała ze swojej strony linię położoną znacznie na wschód od linii Curzona.

Sprostować wreszcie trzeba informację Evansa, jakoby gdziekolwiek w byłej Galicji zachodniej ludność polska znajdowała się w mniejszości. Wręcz przeciwnie, obszar ten należy do dzielnic polskich o najniższym odsetku mniejszości narodowych. Nie wiadomo też skąd wzięły się wiadomości Evansa o jakimś potężnym ruchu „prometejskim” w Polsce, zmierzającym do utworzenia wielkiego imperjum polskiego, który chce wykrącać z obszaru Rosji sowieckiej. Wiele było w Polsce w różnych czasach publikacji i zachowywało się tak jakby to ona właśnie prowadziła politykę tego kraju. Ale w czasie pobytu w Londynie nie daliśmy już wprowadzić w błąd, gdyby mnie ktoś chciał upewniać, że to właśnie ksiądz Bedford kieruje losami Imperjum Brytyjskiego.

Tak samo o prasie polskiej w Wielkiej Brytanii wiadomości Evansa są bardzo chwytliwe. Twierdzi on np., że „Wiadomości Polskie” są organem rządu polskiego. „Myśl Polska” uważa za pismo wyrażające „catholic view point” a „Zwrot” za wyraz „starej tradycji antyfaszystowskiej”. O piśmie „Jestem Polakiem”, powiada że jest „most notorious of the Polish papers” i że w jego komitecie redakcyjnym był dwóch ministrów, których zmuszono do wystąpienia z tego komitetu. Evans mógł się być łatwo

dowiedzieć, że „Wiadomości Polskie” są piśmie prywatnym, od rządu całkiem niezależnym, że „Myśl Polska” jest organem Stronnictwa Narodowego, a „catholic view point” stanowi tylko część jego wyrazu politycznego, że stara antyfaszystowska tradycja reprezentowana jest także przez inne pisma, a nie tylko przez „Zwrot”, i że nie wychodzące już „Jestem Polakiem” było obskurnym piśmkiem, którego znaczenie rozdeptało zostało przez nowoczesną reklamę jego demagogii antysemickiej w prasie angielskiej. Nieprawdą jest wreszcie, że dwóch ministrów należało do komitetu redakcyjnego tego pisma. Najbardziej humorystyczne wrażenie robią rozważania o wpływach socjalistów polskich w rządzie, oparte na przebiegu... za targu w polskiej marynarce handlowej.

Ostatni rozdział swojej książki poświęca Evans przyszłości Polski. Wypowiada przytem pogląd, że raczej należy się obawiać tego, że Polska wyjdzie z wojny zbyttno powiększona, niż tego, że poniesie zbyttny znaczny uszczerbek. Aby nie być gołosłownym, precyzuje, że obawia się, by Polska nie dażyła czasem do odzyskania granic z r. 1939... Te obawy godzą się doskonale z faktem, że rosyjsko-niemiecką linię demarkacyjną z września 1939 r. uważa Evans za „ethnically fair”. Ogólnie dostępny materiał statystyczny, z którego Evans łatwo mógł skorzystać, wskazuje, że w okupacji sowieckiej znajdowało się Rosjan nie więcej niż 120 000, Ukraińców — 4 125 000, Białorusinów — 1 700 000, Żydów — 1 000 000, a Polaków — 4 800 000. Evans obawia się, że zaboborscy Polski skieruje się także przeciw Niemcom. Tutaj grozi mianowicie ze strony polskiej zabór Śląska oraz rozszerzenie polskiego wybrzeża bałtyckiego. Melancholijnie zauważa Evans, że dla tych zadań znajduje się z pewnością poparcie w Wielkiej Brytanii i gdzieindziej, bo niestety, nie brak takich, co chcą Niemcy okaleczyć. Evans przypisuje zresztą rządowi polskiemu zamiary zaboborsze także względem innych prowincji niemieckich, a na poparcie tego swego twierdzenia podaje, że w mapach i wydawnictwach rządu polskiego... nazwy miast Breslau i Stettin są podane w brzmieniu polskimi: Wrocław i Szczecin. Muszę tu zauważyć, że podejrliwość Evansa nie jest jeszcze dostatecznie wielką. Polacy nazywają po polsku także liczne miasta niemieckie w Niemczech zachodnich, często w spolszczonej transkrypcji łacińskiej: np. Trier — Trewir, Regensburg — Ratyzbana, Aachen — Akwizgran, Köln — Kolonia i in. Powiem więc jeszcze, zamiary zaboborsze Polaków idą o wiele dalej: miasto Paris nazywają — Paryż a miasto London — Londyn. Ale zato znowu Anglię miasto Livorno we Włoszech nazywają ni mniej ni więcej tylko Telghorn, a o Warszawie mówią — Warsaw.

Niewiadomo skąd wziął też Evans wiadomość o tem, że Polska zmierza do rozbioru Niemiec (disemberment of Germany), co zdaniem jego byłoby zapowiedzią nowej wielkiej wojny. Mógł go uspokoić, że zamiary takie nie istnieją, gdyż polityka polska pozostaje całkowicie w ramach realizmu. Nie wynika stąd jednak wcale, żeby Polacy, narówni z innymi narodami, nie dążyli do poczynienia wobec Niemiec...

Evans jest także bardzo zaniepokojony o bezpieczeństwo Rosji od strony Polski. Jego rozważania na ten temat nie są już dziś oprałdwa aktualne, wobec przemian w stosunkach polsko-rosyjskich, zachowały jednak pewne znaczenie zasadnicze. Wyraża on obawę, że polscy „faszyści i prawica” chcieliby stanąć na czele „wojny świętej” przeciwko Rosji. Główne znaczenie w stosunkach polsko-rosyjskich przypisuje jednak postawie lewicy, „na której spoczywa odpowiedzialność za przyszłość kraju”. Evans nie traci nadziei, że lewica zgodzi się na linię Curzona jako na przyszłą granicę polsko-rosyjską, co usunęłoby groźbę przyszłej wojny z Sowieciami. Wiedząc na dla wyperswadowania lewicy, że ofiara ta nie byłaby zbyt wielką, podaje przytem obszerną cytate Lenina, wyjaśniającą, że wojna o niepodległość Polski byłaby nacjonalizmem najgorszego gatunku, gdyż oznaczałaby postawienie interesów garści Polaków ponad interesy setek milionów ludzi, którzy ucieliby wskutek takiej wojny. Proletariat polski — mówi dalej Lenin — może jednak służyć skutecznie socjalizmowi i wolności, także polskiej, przez walkę z nacjonalizmem polskim w łączności z proletariatem krajów sąsiednich. Niebardzo rozumiem w jakim zamiarze podaje Evans te cytaty. Mógł go zapewnić, że lewica polska — do której zechce zapewne zaliczyć P.P.S. — w żadnych warunkach nie godziła się i nadal nie godzi się na przyjęcie linii Curzona jako przyszłej granicy polsko-rosyjskiej. A zaś cytata z Lenina w tem zestawieniu brzmi dość zabawnie. Jakże to mógł naprzykład proletariat polski budować „socjalizm i wolność” w porozumieniu z proletariatem krajów sąsiednich, dn. 1 września 1939 r., a potem dn. 17 września 1939 r.?

Ala jeżeli Evans lubi cytaty komunistyczne, przypomnę mu, że dn. 11 lipca 1920 r. rząd sowiecki, w oficjalnej nocie do rządu angielskiego, odrzucił linię Curzona i wyraził w tejże nocie przypuszczenie, że została ona zainspirowana pewnym sferom brytyjskim przez rosyjskie żywioły kontrolujące ją. Wreszcie ostatnia uwaga: mówiąc o zamierzeniach federacyjnych Polski w przyszłej Europie środkowo-wschodniej, Evans zarzuca Polsce tendencje do pomijania sprawy planowania basenu Dunaju jako odrębnej całości. Oczywiście jest rzeczą, że w Europie środkowo-wschodniej każda federacja regionalna musi być tak zbudowana, by możliwe było połączenie jej z innymi podobnymi federacjami w jedną większą całość. Stąd zagadnienie krajów nadnaddunajskich musi być traktowane równorzędnie z innymi. Chyba p. Evans nie wyobraża sobie, że obszar nadnaddunajski utworzył federację, niezwiązaną z resztą obszaru środkowo-wschodnioeuropejskiego? Polska w każdym razie, jako najwęższy kraj w tym obszarze, jest zainteresowana w takim ukształtowaniu bloku środkowo-wschodnioeuropejskiego, by był on dostatecznie odporny na możliwą napasę z zachodu i ze wschodu. Doświadczanie wskazuje już dostatecznie, że bezpieczeństwo zbiorowego nie mogą zapewnić żadne układy, lecz tylko odpowiedzialna organizacja związków państwowych.

Po tem wszystkim niech mi wolno będzie wyrazić żal, że Evans, który dowiódł w części informacyjnej swojej książki, iż umie dobrze korzystać z dostarczonego mu materiału, nie zadal sobie trudu zebrania dostatecznych wiadomości także w zakresie polityki polskiej i poprzestał na niewiadomo skąd polapanych plotkach i fikcjach, do których poddawał własno błędy.

ADAM PRAGIER.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

KOBIEТЫ WEYSSENHOFFA

Kiedy poznałem Józefa Weyssenhoffa, nie był to już ten piękny pan, o ślicznie utrzymanym wosie i nieco odrzuconej wtył głowie, jak przedstawiał go portrety przy tytułowych stronach jego przedwojennych — sprzed tamtej wojny — dzieł. Był to już stary człowiek, o zmęczonym kroku i spłowiałych oczach. Mimo to, wyglądał jeszcze rasowo i imponująco. Weyssenhoffowie, gniazdowy ród inflancki, wywodzący się od kawalerów miedzowych, a jak Platerowie, Romerowie i inna tamtejsza szlachta doświadczeni spolszczeni, odznaczali się długowiecznością i czerstwem zdrowiem. Właśnie Weyssenhoff w opracowanej przez siebie kronice swego rodu cytuję któregoś antenata, po pochowaniu trzeciej ślubnej małżonki stojącego na kobiercu z czwartą. Noga mu się na tym kobiercu powinęła, ale nie stracił fantazji i pochylając się do obłubienicy, zrywał na poczekaniu: „Noga się płata; będzie piąta”. Czy sploniona nieboga zdobyła się na odpowiedź na ów niewinny iocus, kronika milczy.

Natomiast kronika towarzyska Warszawy nie milczała o baronie Józefie Weyssenhoffie za jego młodych lat i może zajmowała się nim więcej, niżby tego pragnął. Był wtedy dzieckiem ślicznego majątku w lubelskim, Samoklesz, po gen. Weyssenhoffie, ożenił się z piękną i bogatą panną, żył szeroko i według swoich upodobań. Upodobania te obejmowały to wszystko na co sobie człowiek jego sfery mógł pozwolić: klub, polowania, konie, gry, podróże i oczywiście — kobiety. Kto wie, czy ta pasja nie była w nim ze wszystkich najistotniejsza.

Ala Weyssenhoff miał w sobie jeszcze coś, co go z otoczenia ludzi, nie gorszych od niego, a często może lepszych, stanowczo wyróżniało. Miał talent. „Talent” powiedział Siemkiewicz — jest to taki ptak, który się gnieździ, gdzie mu się podoba: raz w dzikiej puszczy, drugi raz w strzyżynnym ogrodzie”. Porównanie o strzyżynnym ogrodzie nadaje się szczególnie do Weyssenhoffa. Miał po kim dziedziczyć kulturę, i to w najlepszym gatunku. Michał Weyssenhoff, poseł na sejm czterdzieltni, cała długą prozapija ludzi, skatkonanych na cameralach doradcach — wszystko to kazalo mu kochać piękne książki, i otwierało przed nim szerokie widnokręgi. Na to bujnej glebie wybujało ziarno talentu i nie dalo się zdławić ani marności życia, ani — jakże potężnym i władczym — porwym zmysłowym. Posłuchajmy jeszcze Siemkiewicza, który w „Tej trzeciej” wygląda doprawdy jakby wniebłą obroną w procesie życiowym Weyssenhoffa:

„Istota, która ma wyobraźnię, rozwiniętą więcej, niż zwykły śmiertelnik, istota nad inne wrażliwa, zmysłowa, porwycza, istota, która w zakresie szczęścia i rozkoszy wie wszystko i pożąda z niesłychaną siłą — oto artysta.

„Trzeba mu mieć trzykroć więcej charakteru i woli od innych dla odparcia pokus.

„Tymczasem, jak niema powodu, dla któregoby kwiat, piękniejszy nad inne, miał być tem samem odporniejszy na wicher, tak niema powodu, dla któregoby artysta...

„Przeciwnie, istnieje przyczyna, dla której zwykłe miewa mniej, bo jego siła życiowa ginie w tej przepaści i w tej rozterce, które dzieła świat sztuki od świata codziennej rzeczywistości.

„Jest to poprostu chory ptak, mający ciągłą gorączkę, który czasem nikt nie z oczu pod chmurami, czasem wlezie zmęczone skrzydła w pył i kurzuwaje. Sztuka daje mu wstręt do pyłu i kurzuwaj, ale życie odbiera mu siłę wlotu. Stąd często taki rozbrat między życiem zewnętrznym a wewnętrznym artystów.

„Świat, gdy od nich wymaga więcej, niż od innych, i gdy ich potępią, może ma słusność — ale i Chrystus będzie miał słusność, gdy ich zbawi!”

„Jakże pięknie wyraził tę samą myśl Puszkinn w wierszu „Poeta”, gdy przeciwstawia artystę, mniej może od innych wartego w życiu codziennem, owej twórczej chwili, gdy go „do świętej ofiary powoła Apollini”.

Rękawice swemu światu rzucił Weyssenhoff w momencie, gdy wypuścił w świat „Żywot i myśli Zygmunta Podpilkipskiego”. Pisał i przedtem, był poetą-lyrykiem o parnasowskich tonach, był estetyzującym nowelistą. Tu prawie — „obit Gustavus, natus est Conradus”. Urodził się satyrk, t.zn. moralista. Satyrk chłoczek, więc musi wiedzieć kogo i za co. Weyssenhoff wiedział dobrze.

Chłostał swój świat, swoich najbliższych ludzi, za to wszystko co i w nim samym było, co jego wrażliwa skóra i czule sumienie doskonale pojmoowało i za co żądało od niego samego rachunku. Ze trafił dobrze — dowodem nieklamane oburzenie chłubenów warszawskich. Weyssenhoff skończył się dla klubu i dla wielu znajomych, zwłaszcza tych, którzy odgadywali siebie pod mistrzowsko skreślonymi drugorzędniemi sylwetkami „Podpilkipskiego”. Mówiono o Weyssenhoffie z grymasem niechęci i oczywiście, w jednym pytaniu plotkarskim roztrząsano pisarza i człowieka. Kto wie, czy nie na ten pozytywco urosła dziwna plotka, że „Podpilkipski” pierwotnie nie miał być wcale satyrą. Ot, Weyssenhoff-sybaryta nakreślił w panu Zygmuncie swój ideał życiowy, z całą naiwnością literackiego outsidersa. Dopiero Dionizy Henkiel, słynny redaktor i w owym czasie szara eminencja kół pisarskich Warszawy, powiedział mu: „Panie! Toż to znakomita satyra!”... I tak to bywało klubowy poczuł się satyrkierem.

Pytałem Weyssenhoffa o genezę „Podpilkipskiego”; zresztą, jeżeli się nie myle — bo sprawdzić teraz trudno — pisał sam gdzieś o tem. Pomysł zaśniął mu w wagonie, w drodze do Lublina; jest w „Podpilkipskim” taka kapitalna scena, gdy Jacek Ligęza spotyka pana Zygmunta, kończącego ranną toaletę w przedziale pierwszej klasy, a strzelece Hans podaje panu świeżo wy-szczotkowane żółte buty i szare ubranie podróżne. W różnobarwnej pomroce rannej mającej wieże lubelskich kościołów. Czy można na serjo przypuścić, żeby pisarz, który dał tyle świetnych obrazów i typów, który signał tak głęboko w istotę przeżyte swego pokolenia, zaczął tak po dziecinemu, jak chłopczyk, prowadzony za rękę?

Ta bajda wlokła się za Weyssenhoffem przez całe życie i nie umilkła nawet po śmierci. Pamiętam, że mówiłem kiedyś o idealach życiowych w powieści Weyssenhoffa; odczyt odbywał się w salce Tow. Literatów i Dziennikarzy na Brackiej. Pewien słuchacz, literat, mocno ze mną dyskutował. Upiął się przy tezie, że Weyssenhoff był smakoszem i biboszem, a zatem nie moralista, tylko najwidoczniej hipokryta, na dowód zaś przytoczył fakt, iż Weyssenhoff zaprosił go na śniadanie, przy którym wiele uwagi poświęcił wyborowi

wina. Wyjątkowo elegancka psychologia — i rzadko kiedy postawienie dobrego wina tak się słabo opłaciło, jak wtedy Weyssenhoffowi!

Ze nawyk do wykintu czynił z Weyssenhoffa nielatego do zadowolenia współbiedniadnika, to prawda. Grzymała-Siedlecki, złośliwa kronika swoich współczesnych, opowiadał mi o obiedzie, jaki dla Weyssenhoffa urządzono w Bydgoszczy, gdy obaj oni, Weyssenhoff i Grzymała, w mieście tem osiedli, niesłychanie honorowani przez zarząd miejski. Bydgoszcz chciała — co wcale nie było głupim pomysłem — mieć u siebie znanych pisarzy na stałe. Widać, że Weyssenhoff jest „une fine fourchette”, powierzono organizację biesiady najznakomitszemu miejscowemu gastronomowi. Ten sprowadził z Poznania najlepszego kucharza i dał menu w swoim mniemaniu najwykwintniejsze. Obiad się skończył; Weyssenhoff wstał od stołu i powiedział uprzejmie: „No, obiadek był gospodarski, ale niezły”. Podobno też, po wypiciu filiżanki kawy, kiedy go pytano, czy nie chciałby teraz herbaty, miał odpowiedzieć: „Jeżeli to co piłem było kawą, proszę o herbatę, a jeżeli herbatą — to o kawę”. Ale te historyjki kładę już całkowicie nakabór złośliwości Grzymały-Siedleckiego, autora zjadliwych „Samokleszów”.

Bydgoszcz, honorując „pana barona”, oddawała — mojem zdaniem — hold nie tylko znakomitemu artyście, twórcy „Sobola i panny”, „Puszczy” i tylu prześlicznych nowel, z których zbiór „Znaj pana” jest może najpiękniejszy. Cześć gorącego patrioty, który nigdy nie zniżył się do ugody z wrogami Polski, cześć zdecydowanego demokraty — tak: „demokratę” — który walczył o godność człowieka w „Sprawie Dolegi”, w „Synu marnotrawnym”, w „Nad pirunami” i choćby w tem „Znaj pana”. Cześć także pisarza niezależnych przekonań, który miał odwagę wystąpić przeciw stylowi literackiemu Wyspiańskiego, gdy Wyspiański był u szczytu sławy i gdy wystąpienie takie było co najmniej ryzykowne. Weyssenhoff, jak każdy polski szlachcic dobrej krwi, był trochę sobiepanem, ale właśnie dlatego, nie był ani trochę snobem. Boże, jakże on to urządził tych Dubieńskich w „Synu marnotrawnym”, gdy ojciec rodu, po narzuceniu słabemu synalowi swej tyrańskiej woli — a wziął go poprostu: pieniędzmi — i po zmuszeniu go do zerwania z kobietą, którą oszukał, idzie z roździnką obok zniwiarzy w polu! „Niech będzie pochwalony!” — mówi zniwiarze. „Jezus Chrystus... zawsze trzeba dodawać: Jezus Chrystus!” — odpowiada pobożnie pan Maciej, „który z tytułu swego stanowiska uważał się za rodzaj namiestnika Chrystusowego w powiecie”. A ten pan Włosek w „Wyrokach”, „przyjeżdż do wielkiego świata osobiście, bez żony i potomstwa!” A panowie Norbert i Hektor Zawieszy w „Sprawie Dolegi!” A wreszcie najwspanialszy i niedościgniony pan Zygmun Podpilkipski wraz z „ciocią-prezydentową”, „ciocią-opinią”, Wegdamit-Odecką!

Nawet w drugim, powojennym okresie swej twórczości, zapożyczając się z powieści Weyssenhoffa, doszedł „Unje” i „Narodzin dyalaczką”, jest on ciągle tak samo czynny na każdej podłożce i na każdej brzydka śmieśności. Jakże to się nazywała ta rodzina, „jedna z królewskim rodem Leszczyńskich, która przez cały ciąg dziejów Rzeczypospolitej stała czekała na sposobność odznaczania się”? Tej sferze i tej rodzinie przeciwstawiona jest mocna „Gromada”, za którą Stronietwio Ludowe powinno wielbić Weyssenhoffa, jeżeli ideałem ludowców jest dzielny Rykoń, a nie profesor Edmund Owocny.

Ten uparty, programowy demokratyzm Weyssenhoffa jest w nim tem znamienitszym i cenniejszym, że właściwie Weyssenhoff ma przyrodzoną słabość do „dobrej krwi” i wcale się tej słabości nie wypiera. Zato wymaga od tej krwi więcej, niż od innych, a batoży ją niemilosierdnie, gdy się paskudstwem skala. W „Pani Teodorze” wyrażnie mówi, że oceną wartości rodu nie powinna dziś być jego starożytna dynastyczność, ale raczej rola, jaką ten ród odegrał w najcięższych dla ojczyzny latach niewoli. Któż nie zgodzi się na takie określenie? Dlatego to hrabia Karol Bzaki, tajemniczy i malomówny „wuj Karol” ze „Sprawy Dolegi”, jest traktowany z taką pasją satyryczną, gdy na zapytanie, czy należy jechać do Petersburga, odpowiada stanowczo: „Do Petersburga? Zawsze!”.

Dlatego taką namiętną odrazę budzi w Weyssenhoffie magnat polski w Paryżu, który „aż młodsze niż uprzejme gościnności”, gdy przyjmując rosyjskiego dygnitarza i toczy z nim poufną, obu ich interesującą rozmowę. Jest w tem mocne wyzwanie, rzuczone wszelkiej ugody z zabobami, zarówno „ugodowcom” warszawskim jak krakowskim „stanicykom”. Jeszcze na starość potrafił Weyssenhoff palnąć dotkliwie „verba veritatis” Krasnowowi, autorowi „Od dwugłowego orla do czerwonego sztandaru”.

Lepsze od mężczyzn są naogół u Weyssenhoffa kobiety, i to pochodzi zapewne z tego, że tak kobiety kochał. Typów kobiecych dawał Weyssenhoff mnóstwo i z przeróżnych sfer. Jego bohaterem jest zawsze właściwie szlachcic, a chłop, jeśli występuje, to w roli drugorzędnej, służebnej, i wtedy jest dobry (inaczej wypadła sztuczność), natomiast kobiety traktowane są inaczej. Rzekłbys, że w Weyssenhoffie siedzi wielki pan, który uszlachca kobiety, podnosząc je do siebie, zgodnie zresztą z prawem i obyczajem staropolskim. Każda kobieta, to zasadniczo dla Weyssenhoffa Ewa, równa towarzyska mężczyźnie. Takie są dziewczyny litewskie w „Sobolu i pannie”, nie tylko sama Warszulka, ale i Anielka i inne piękności folwarczne. Prawda: kobieta dla Weyssenhoffa musi mieć dwie zalety — wdzięk i dobroć, a wtedy dopiero otwierają się dla niej — przez miłość — wszelkie możliwości. Ale czyż to takie dalekie od prawdy życiowej? W każdej powieści Weyssenhoffa jest jakaś bohaterka, opromieniana ja swoją urodą i uśmiechem. W „Podpilkipskim” zdaje nam się, że będzie nią Falbanka, miła w swej półdziewiczęcej niezaradności, ale prawdziwymi bohaterkami są bratowa Zygmunta Podpilkipskiego i jej matka, a kto nie lubi tak surowych cnót — to ta śliczna pani, która miała rację, że się rozwiódła. W „Sprawie Dolegi!” — księżniczka Halszka, dojrzałaćca przez miłość i poświęcającą się w niej, a obok — uroczą Marynia Helle i ta praoctka, jakby zdjęta z obrazu Matejki. W „Puszczy” — Renia, przywracająca ukochoanej ziemi rodzinnej ukochoanego człowieka. W „Gromadzie” — dzielna i energiczna Manieczka, ze swoją Magdusią, która postawiona jest chyba poto, by wykazać, że nie tylko panna ze szlacheckiego dworu potrafi gorąco kochać. Kwintesencja kobiecego, czysto polskiego ideału jest Zosia w „Nocy i świecie”. Jak każda synteza, nie

ma niestety, rumieńców życia.

Dużo więcej prawdy ma pani dyrektorka, z tej samej „Nocy i świata”, baba przebiegła, egoistka, ale prawdziwa. Bo nie wszystkie kobiety Weyssenhoffa są aniołami; tego błędu artystycznego nie popełnia. Są tam i diabły wielone, uosobienie zła, jak Hela Latzka w „Hetmanach”, od której aż bije wschodnia zmysłowość, są wyrachowane, zimne kokietki, jak gospodyni Czernego w „Gromadzie”, są nudzące się lwice salonowe, jak hrabina Hohensteg w „Sprawie Dolegi”, jak flirt Rajekowski z „Sobola i panny”, ta dama, co to „miała wszędzie w Polsce wielu krewnych, zwłaszcza między zgrabniejszą młodzieżą”, są przeciętne kobiety, jak aktoreczka z „Cudna i ziemi cudzeńskiej”, jest wreszcie arcydzieło — księżna Terenia z „Syna marnotrawnego”, „cette charmeuse” Terenia, kobieca replika swego szarnego papy. Scena, w której wyłudza od ojca pieniądze na wyjazd na Riviere, rzekomo dla ratowania brata, jest majstersztykiem ironii.

Ciekawe, że z wyjątkiem tej — Agatki jej chyba było na imię — gospodyni Czernego z „Gromady”, zdystansowanej, i słusznie, przez Manieczkę, naogół dziewczęta „niższej kondycji” są u Weyssenhoffa typami dodatkowymi. Zarzykowałyby twierdzenie, że Weyssenhoff ma „les amours anclairées”. Bo nie tylko że te kobiety są lepsze, ale tryumfują nad rywalkami z wyższej sfery, a Weyssenhoffowi zdaje się to sprawić ogromną przyjemność. Warszulka (podobno postać autentyczna, tylko epilog był inny, niż w powieści) — co tu gadać: o wiele dłuższą bije spławadniczkę w sercu Rajekowski. Najtypowsza jest służąca w „Cudnie i ziemi cudzeńskiej”: ta zdobywa łatwo bardzo, choć nie na stałe, miłość młodego pół-Polaka, pół-Anglika. Cieszy się z tego stary stryj, mający jakieś porachunki z aktorkami; służąca usunęła w cień swoją panią, aktorkę. Nawet tym dudem służącym z „Gromady”, dobrej i złej, Weyssenhoff przgląda się ze znanstwem i przyjemnością. Ma zresztą „talencik do ludu”, jak powiada ojciec Manieczki, pyszny nowoczesny szlachcic o starej podszewce, pan Broniecki, herbu Przyjaciel. „Nigdy to uprzejme godło (serce na misie) nie było tak dobrze noszone” — powiada Weyssenhoff.

Niemna co mówić: i on daje swo serce, nie na misie, ale w powieści. Jakiś w lepszych czasach biograf Weyssenhoffa, zwłaszcza jeżeli będzie pod

SKARB NICA POLSKA

WESPAZJAN KOCHOWSKI

Wiosna

Niech lato kopy liczy, niech jesień winnice
Upłatą i przestronne napełnia pienie:
Bachusowi niech się zima mięsopusty
Szczeci, w które pozwala cnej młodzi rozpusty.

Wiosna wszystkiemu czołem: ona śniegi zbiera
I na przemarlej ziemi ona rozpościera
Różnych kwiatów szpalery; taje lód żalostny,
Gdy mu gwałtem dojrzeć lubej ciepło wiosny.

Z ujeżdżonego grzbiotu Wisła zrzuca lody,
I wszelkie w dalszą nie chcą żyć niewoli wody.
Pogodne dni oświeca z ciepłem jasne słońce,
A ziemia śnieżnej zhywa, jak przez gwałt, opończę.

Ustały zawieruchy: na to miejsce goni
Uciekające Austry z Zefirem Fawoni;
Przy których Etezy jak i Kaurus wieje,
Aż wszelki rodzaj kwiatów w ogrodach się śmieje.

Twa ręka, panno piękna, niechaj nie mitręży,
Niech ci z przedką nagrodą ta praca nie ciąży.
Wiosna każe: bierz krzaki z piwnic rozmarynu,
Lubo są obumarle, nieś je do działydu.

Gdzie jak przedko ożyją z wiosennej wilgoci,
Wiencem twej głowie będą pamiętne dobroci.
Toż pachnąca lawenda, tulipan, fiołki,
W różnobarwne upstrzyśzesz kolory wierzchołki.

Narcyzy, hiacynty i heliotropy,
Tuż za biegiem słonecznym postępując w tropy.
Tu swej błędnie lilią białością zdany,
Tam się róża czerwien rumieńcem purpury.

W drugim krzaku zaś biała, na słoneczno-przyjście,
Pzyjemną czyniąc wioną, swe rozwija liście.
Zefiry powiewają, woda bieżąc mruży,
To wszystko, piękna dziewczko, niechaj cię nauczy:

Jako masz kwitnącego dziś zażywać wieku,
Który raz utracony, nie wróci cię zleku.
Wiosna, młodość, uroda, w nieścigionej łodzi,
Byстрым Dunajca nurtem płynie i uchodzi.

Róża przedko opadnie, jesień kwiatom szkodzi,
Która zaś przyszła wiosna powtórnie odmłodzi:
Człowiek w następującej dalszych lat jesieni,
Drugi raz nie odmłodnie, ani się zieleni.

Przeło kwitnącej pory lat tych zażyj snadnie,
Już się ten kwiat nie młodzi, kiedy raz opadnie.

WESPAZJAN KOCHOWSKI.

ADAM MICKIEWICZ

Trzech Budrysów

Stary Budrys, trzech synów, tegich jak sam Litwinów,
Na dziedzińcu przyzywa i rzece:
„Wyprowadźcie rumaki i narządźcie kulbaki
A wyostrzcie i groty i miecze!

„Bo mówiono mi w Wilnie, że obrabia niemylnie
Trzy wyprawy na światu trzy strony:
Olgierd ruskie posady, Skirgieł Łachy sąsiady,
A ksiądz Kiejstut napadnie Teutony.

„Wyscie krzepcy i zdrowi, jedście służbę krajowi,
Niech litewskie prowadzą was bogi!
Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:
Trzej jesteście i macie trzy drogi.

„Jeden z waszych biec musi za Olgierdem ku Rusi,
Ponad lłmen, pod mur Nowogrodu;
Tam sobole ogony i srebrzyste szalony
I u kupców tam dziesięć, jak lotu.

„Niech zaciągnie się drugi w księdza Kiejstuta cugi,
Niechaj tępi krzyżaki sbrubaty!
Tam burstynów jak piasek, syna cudnego blasku
I kapłańskie w brylantach ornaty.

„Za Skirgiełtem, niech trzeci poza Niemen przeleci!
Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe,
Ale zato wybierze dobre szable, puklerze,
I mnie stamtąd przywiezie synowe.

„Bo nad wszystkich ziem branki miłsze Laszki kochać się,
Wesolutki jak młode koteczki.
Lice białe od mleka, z czarną rzęsą powieka,
Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki.

„Stamtąd ja przed pół wiekiem, gdym był młodym człowiekiem,
Laszkę sobie przywoziłem za żonę;
A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ja sobie
Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę!”

Taka dawszy przestrożę, błogosławił na drogę,
Oni wsiedli, brzoń wzięli, pobiegli.
Idzie jesień i zima, synów niema i niema —
Budrys myślał, że w boju poległi.

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burkę wielkiego coś chowa.
„Ej, to kubek, w tym kubku nowogrodzkie są ruble!”
— „Nie, mój ojciec, to Laszka synowa!”

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
Burka pełna, zdobyty tam wiele;
„Pewnie z Niemiec, mój synu, wieziesz kubek bursztynu?”
— „Nie, mój ojciec, to Laszka synowa!”

Po śnieżystej zamieci do wsi jedzie mąż trzeci,
Burka pełna, zdobyty tam wiele;
Lecz nim zdobyć pokazał, stary Budrys już kazał
Prosić gości na trzeci wesela.

ADAM MICKIEWICZ.

SZYMON ASKENAZY

O WOLI NARODOWEJ

Od półtorej bezmała roku największa wojna światowa najrozszerze kłęsi zlewa na Polskę. Niemasz równych w całej Europie dzisiejszej, nawet w drobnej Belgii lub półdzikiej Serbji; niemasz w całej przeszłości polskiej, nawet za najzłoty tatarskich lub szwedzkich. Cierpimy więcej, niż gdziekolwiek inni współczesni; więcej, niż przodkowie nasi kiedykolwiek. A jednak nie wolno nam straconego żałować pokój, ani przeklinać doświadczonych cierpień wojennych. Ów pokój wyrastał na grobie ojczyzny naszej, że zaś miłki mogą i powinny prowadzić do jej odrodzenia. Za taki wynik żadna cena nie byłaby za wysoka. Zapewne, nie z dażeń wywołanych, lecz z ciśnień i chuci mocearstwowych wyrzeliła obecna zawierucha powszechna. Przy jej wybuchu o nas nie było wiele mowy. Ale jedna z jej przyczyn najgłębszych — krzywdą naszą; i jednym z najwłaściwszych jej skutków musi być zmiana zupełna losu naszego, oby na dobre. W tem znaczeniu spełniła się modłita Mickiewicza: „O wojnę powszechną, za wolność ludów, prosimy Cie, Panie!”

Dla odbudowy Polski niezbędna była wojna powszechna. Taka, do której weszłyby zarówno mocearstwa ościenne, bezpośrednio związane aktem rozbiorem, jakoteż pośrednio, pośrednio przezeń poszkodowane, Polska potrzykróć, 1794, 1830, 1863 r., usiłowała wyzwolić się sama, lecz nie wydołała. Okazało się że imago skutecznego niema sposobu, jak rozłam wewnątrz samej spółki podziałowej. Ale na to długo nie było widoków. Ani pierwotnie między współnikami targi podczas podziałów, ani pozorne między nimi starcia w dobie napoleońskiej, ani rosnące samostawności doby kongresowej wiedeńskiej aż do berlińskiej, nie rozdzieliły rozbiorew trójcy. Naprawdę na to czekało za sejmu czterolitego, insurekcji kościuszkowskiej, rewolucji listopadowej, powstania styczniowego. I oto dziś nareszcie, po 150 latach, ów związek feralny, który Polskę powalił i podnieśnięcia jej nie dopuszczał, pękł doszczętnie a pono niepowrotnie. W tem, pomimo najokrutniejszych dopustów wojennych, tkwi konjunktura dziejowa: niezmienne doniosła i dodatnia, jakiej nie doczekali się wielcy przodkowie, Malachowski i Potocki, Kościuszko i Kollataj, Dąbrowski i Poniatowski, Czartoryski i Wielopolski, a doczekaliśmy się słabe epigony. Wali się w gruz jarmięcy i dziełacy nas dotychczas stary rzeczy porządek, nowy się rodzi, novus nascitur ordo, a w nim, da Bóg, nasze prawe odzyskuje się miejsce. Wice jakkolwiek ciężka dziś dola nasza, zdeptyany kraj, skrwawiony lud, odczuć przecie winniśmy, iż w tem wielka łaska na nas niegodnych, żeśmy tego dożyli. Ale wraz i trwoga wielka winna nam zająć duszę za straszną naszą odpowiedzialność.

To co teraz z Polską się stanie, na długo się stanie, jeśli nie na zawsze. Konjunktura, polegająca na znowym rozłamie trójdzielni. Trzeba ją dopiero taką uczynić. Winno wyjść z niej dobro największe, odczyszczenie bytu całego, wolny, niepodległy. Ale może też wyjść mniej, bardzo mało, nie, albo nawet poniżej zera, gorsze, najgorsze, zguba. Obrachemunek z tego zdany wszyscy, potomstwu; chcą niechęć zdany wszyscy, bez różnicy, całe pokolenia nasza. Wybrane przez los na załogę nacji publicznej w godzinie burzy dziejowej, jakiej nie było i nie będzie, skojarzy się ono w pamięć narodową po wszystkie czasy z dobrym czy złym jej jednej godziny wynikiem, bądź uczeszone błogosławieństwem, bądź też wiecznym zhańbione wyrzutem. Powiedzą o nas: ci ludzie w potrzebie największej przyszli Matce z ratunkiem; albo też: nie chcieli czy nie umieli. Jej ratować. Coprawda, byłaby wygodna myślowka: nie mogli; byłby sposób zbicia odpowiedzialności takim wykretem. Zmagając się wszak moce wszechświatowe niepołtornie ze słabością naszą; one, nie my, te wojnę rozpaliły; one, nie my, rozstrzygnę o jej wyniki a zarazem, bez nas, o nas. Lecz nie wywinie, nie osłoni taka mowa Pilatosa. Niezawodnie imi, potężniejsi, stanowić o nas będą; ale sposób stanowienia w znakomitej mierze i od nas także, od postawy naszej zawisł. I to od postawy nie tylko fizycznej, lecz przede wszystkim duchowej. Siła nasza w woli naszej. To zawsze a zwłaszcza teraz źródło wszelkiej mocy zbiorowej. Najmocniejsze z walczących dziś narodów trzymają się jedynie ogromnem napięciem woli. Ich monarchowie, wodzowie, statysci o to wolażą, dbają, drżą najwięcej o utrzymanie ześrodkowanej woli publicznej. Dla istot słabszych fizycznie ten czynnik duchowy tem bardziej staje się doniosły. Mała Belgia w zadnym razie już nie zginie, a najgłośniejszy dlatego, że twarzą ujawnia nieugiętą chęć niepodległego bytu. I my, nie pomimo, lecz właśnie dlatego jesteśmy słabsi, — choć tej słabości lepiejby nie przesadzać, — przedewszystkiem winniśmy zestrzelić wolę narodową w jednem dążeniu prostem i przyrodzonem, być razem, wolnie i niepodległe, na ziemi polskiej.

Odzęgnięty jest od tego wszelacy, jakich zowie Mickiewicz, „ludzie na urząd rozdani i z profesji dyplomaci”, jako od „romantyzmu” i szaleństwa. Radzą szepceniem realnie i trzeźwo: udajmy przed światem, iż nie chcemy Polski całej i udzielnej. Oczko jedno z dwójga: albo nam świat nie uwierzy, i wtedyśmy oszuczy, z którymi liczyć się nie wolno; albo uwierzy, a wtedyśmy niktęmi, z którymi liczyć się nie warto. Inaczej być nie może, dziś mianowicie, gdy najmniejsza i największa narody wytaczają z siebie krew ostatnią, za przyszły swój rozwój i potęgę, choć dopiero za nagi był spólny i samoistny. Ciż samiradowe areyrozumni nawa wytyczną narodowi wystawili naukę: iż im kto mniej żąda, tem więcej dostanie; kto czego nie żąda, otrzyma wszystko. Kiedy sto lat temu, przed traktatem tyłżyckim i kongresem wiedeńskim, nasamprzód z odmetów wojen europejskich wyłoniły się dla nas widoki odrodzenia, ówczesni statysci polscy wręcz naopak, nie zakazywali, lecz wręcz zalecali narodowi domagać się pełni praw swoich. Wprawdzie tym sposobem zwiększali oni osobistą swą przed narodem odpowiedzialność za wynik podjętych w jego służbie starań, ale też znakomicie podnosili charakter, zakres i szanse tych starań. Skoro bowiem w praktycznym rozwinięciu zasady całosci i udzielności Polski bardzo rozmaite, ilościowe i jakościowe, istnieją stopniem, to tem bardziej kardynalna ta zasada sama w sobie, jako platforma i punkt wyjścia, staje się bezwarunkowo konieczna i celowa politycznie. Aby zaś politycznie stała się skuteczna w przełomowym przesileniu obecnem, winna mieć za sobą wszystką solidarną wolę narodu.

Tej miary wola, zwarta, tego i jasna, nie zrodzi się z rozdartego, zwątlonego, zmąconego ducha. Aby mogła wyblysnąć, musi istnieć jako jej podłoże odpowiedni stan duszy narodowej. Czyli stan polskiej jest na wysokości nadzwyczajnych wymagań dzisiejszych? Nie. Ciału umęczonej Polski całe pogrążone w wojnie, lecz dusza, poczęści jeszcze na stopie przedwojennej, pokojowej, nie nadażyła za ogromem wydarzeń, nie wzniosła się do nich. Musiała od tak dawna nałamywać się do ciężkich i niezdrowych warunków podzielnego i jarmięnego bytu. W tej twardej szkole przybywało jej wiele zalet praktycznych, cennych w odciennej walce samostawowej; skurczyły się przecie, skrzyły pewne cechy najgłośniejsze, nieodczuwne i przewodne w wyjątkowej, jak dzisiejszej, potrzebie. Pogłębiła się znacznie troista dzielnicowa rozbieżność interesu, myśli i uczucia; wyrzobiły się kretę i ciasne lożyiska stronnice; rozłyło się samolubstwo gromadne i prywatne. Owóż wiele z tych grzechów doby pokojowej niemal żywcem przeszło do wojennej. Nigdy więcej niż teraz nie uginano się pod zmorą trójpodziału, choć nikt nie wie, pod jakim ostatnie się rządem. Nigdy więcej nie troskano się o majątek, choć nikt nie wie, co będzie posiadał. Nigdy więcej nie rozdrabniał się partyjnie; rzecz zadziwiająca, wśród gromów nawalniczej światowej wszystkie stronnictwa nasze nie przestają w gruncie po staremu „robić wyborów”, t.j. zaciekle forytować siebie i zwałować się nawzajem.

To wszystko razem, rozbieżność dzielnicową, stronnice, stanowe, nawet osobiste, w związku z wpływem rozkładowym stułetniej zgóra niewoli, obniżając poziom psychiki narodowej, wyrzadziło już od półtorej roku i wyrządza nadal szkody nieobliczone. Stąd posłała małość, metność i chwilejność w ujęciu sprawy polskiej przez polityków naszych od początku wojny, stosunek ich niedość godny do rządów trójdzielnych, a nawet do dalszych. Stąd wątle i wadliwe postawienie pierwiastkowych zagadnień gwarancyjnych, organizacyjnych i legionowych przez Galicjan; niewolnicze i niedorzeczne upojenie Królewaków ciśnieciem im ogólnikową obietnicą; falowanie Wielkopolan między bezpłodną negacją a płaskim dworactwem. Śród działaczy, poczytalnych za marności, tej akcji, czy to prowadzonej zbiorowo, czy w pojedynkę, obok lichejszych zawodowców są wszakże obywatiele wybitni, prawi i ofiarni. A jednak spóleszeń działacz Belg, pod różgą pruską lub na komornem francusko-angielskim, spóleszeń Bułgar, Serb, Czarnogórze, więcej od nich objawia hartu, wiary, impozycji narodowej. Kiedy dziś wszystkie ludy, nawet szczyty ludów, bezwzględnie upominają się o swoje, jedni tylko dogadają, pokłękają, zwracają się do siebie, ufnosć, a zasłużyc też sobie na łaskawe zaufanie i nagrodę zachowaniem się skromnem, nienagannem, nienatremnem, grzecznem, rozsądnem. Co najwyżej pozwolił sobie na czuły apel do serca możnych dobrodziejów, w imię bądź pobratymstwa słowiańskiego ze Wschodem, bądź kulturalnego z Zachodem, a zawsze w imię wspaniałomyślnych przyrzeczeń opiekunów dla „praw małych narodowości”. W tem wszystkim, obok pewnych strzępów prawdy, są rażące nieporozumienia. Jeśli kiedykolwiek zawierzyć braterstwu krwi słowiańskiej, to nie wobec rzeci na Balkanach, a jeśli braterstwu kultury zachodniej, to nie wobec rzeci od Atlantyku do Adrii. Państwa nie rządzą się czułością, a już najmniej rozbiorem; kto na niej buduje, poniżenie uwięziży zawodem. Zresztą pospołu z rozbiorem, przy ostatnim międzynarodowym o nas wyroku kongresowym wiedeńskim, również i Francja i Anglia najciężej skrzywdziły Polskę, a wraz i siebie, przez opaczne pojęcie własnego interesu. Gdyż narody rządzą się wyłącznie interesem własnym. Zaś interes wszystkich mocearstw europejskich w stosunku do Polski zależy od stopnia wewnętrznej siły polskiej i jej odbicia w wielkości dążeń narodowych. Stawianie w kornym szeregu „małych narodowości” jest politycznym błędem a jest też fałszem faktycznym. Polska, z ziemią dziedziczną i miliona kilometrów kwadratowych, tysiącletnią przeszłością dziejową, bogatą cywilizacyjną puścią, cudną mową i piśmiennictwem, kilkomilijardową roczną wytwórczością gospodarczą, jedną i płodną ludnością 25 milionów Polaków, skąd do dwóch blisko milionów poszło w pole w tej wojnie — to nie ułomek, to wielki naród, jeden z kilku wielkich narodów Europy i świata. Jest za kim się ująć, czym wystąpić imieniem. Ale wprzód podnieść należy wykładnik żywej siły i wagi politycznej Polski, podnieść poziom i tetno woli narodowej.

Kurczowym odruchem, lecz bądźco bądź głównym dotychczas rzeczowym objawem wyprowadzenia jej woli są legiony polskie. Wprawdzie przeciw nim liczne w społeczeństwie podniosły się głosy. „Znaleźli się ludzie rozsądni, którzy brzoń im kazali złożyć i nie dali im umrzeć, bo” pocóż walczyć przeciw moźniejszemu, bez pożytku? Poco umierać za Ojczyznę, bez pożytku? Pożyteczniej tedy oddać harnaty i pioniędzy Moskalom, na pozytyw; tego żołnierzy zaprząć do tacek, niech pracują dla Prusaków, pożytecznie; krew ich oszczędzić, niech się leje pod knutem i batem, pożytecznie”. Z tej gorzkiej wojowania „pozytecznym”, niejednemu daleko się odnieść do ferowanych dzieł przeciw legionowi wyroków. Te wyroki wypadnie poddać rewizji. Przyjdzie to tem najlepszej wierze przez wyborów patriotów. Niedopuszczalna jest rzecz, aby czysta krew legionowa miała jatrzyć jeszcze, zamiast łagodzić wanie w narodzie. Samo pro i contra nie może tu stanowić o emocje i nieprawości publicznej. Są wśród chwalców legii obywatiele marni, wśród ganiających je dotychczas — zaci i rozprzoni. Niewątpliwie ciąży nad legionami tręgizm szczególny, nieznany przed stułetnim ich pierwowzorem: podległość dwóm potęgom rozbiorem, i to nie tyle nawet wyrozumiałej a słabszej jej najtwardszej a przemiennej. W ich poczęciu, fundacji, urzędzeniu, działaniu, niebrak skutkiem tego stron ujemnych, bardzo poważnych a przedewszystkiem nieumiknionych. Spręży się też z niemi lub ucepiły się ich niektóre późniejsze żywioły polityczne,

usiłujące wyzwyskać je na swoje dobro. To wszystko szkodzi niezmiernie sprawie legionej, ale nie znosi jej istoty i znaczenia. Pozostaje fakt rdzenny: kilkadziesiąt tysięcy młodzieży polskiej, idące dobrowolnie oddać życie pod Orlem Białym, pod dźwięk komendy i pieśni narodowej, za ziemię polską, za Polskę. Za nią jedynie — nie za Austrię, Prusy, Międzynarodówkę, jak chcą zle a kiedyś haniebne wyrzuty — oni swe młode ofiarują dusze, giną pod hasłem „nie zginęła”, w poczęciu, iż pory naprawdę „nie umarła”, póki się za nią nie tylko żyje, ale też umiera. Wprawdzie gdzieś zalega się broń, nieskończenie więcej znalazło się rodaków, lecz branych z musu, tępiących jak od zarazy — tamci jedni stają i padają za Polskę z własnej woli, odbłasku narodowej. W ich wysiłku, skrupowanym, zawisłym, odbija się tęsknota narodowa za całą, wolną, niepodległą Polskę. Wio o tem lub dowie się naród i tego im nie zapomni. W swej pierwotnej, nieraz o nich już teraz z szacunkiem odzywa się publicznie Anglik, Francuz, Włoch, pofunie nawet szlachetniejszy Rosjanin, wybitni działacze społeczni, wyżsi oficerowie rosyjscy. I cokolwiekby zaszło, choćby wszyscy co do nogi wyginęli legionowi a sprawa, z którą się związali, doszczętnie doznała porażki, przecie czyn ich nie pójdzie na marne. Bardziej niż z mokrą gliną trójlojalizmu i trójmobilizacji polskiej, dziś już liczą się wszyscy uczestnicy walki światowej, a zwłaszcza liczyć się będzie zwycięzca, niemiecki, rosyjski, każdy, ze spieżem polskiej ofiary legionej.

Oczywiście na tem nie kończą się bynajmniej różnorodne obowiązki, jakie w ciężkiej próbie niniejszej spadły na społeczeństwo nasze. Jednym z najgłośniejszych, najświętszych — ratować lud polski wydany na zatracenie, dostarczać mu strawy, odzieży, dachu, opatu, zasiewu. Ci, co do tego dzieła miłosierdzia się zaprzęgli, wiele jałmużnicy i skromni ofiarodawcy, bezwzględnie zbawianą pełnią służbę, ocalając Polaków dla Polski, i wzniosły mają tytuł do jej wdzięczności. A i poza filantropią właściwą, w zakresie odbudowy, odszkodowań, ulg i dostarczeń rządowych, samopomocy społecznej, umiędne zachody praktyczne są rzeczą pilną i niezbędną. Jednak i na tem znowu pozostać dość żadną miarą niepodobna. Polska dzisiejsza, to nie tylko uboga niewiasta, szukająca chleba dla swych dzieci: to królowa wielka, szukająca zaginionej korony. Niepodobna ani szczytnych dzieł dobroczynnych, ani owocnych starań indemnizacyjnych, wysuwać wyłącznie na plan najpierwszej, wystawiać jako jedną na czasie powinność i posługę patriotyczną. Niepodobna w tym wyłącznie kierunku najmniejszego oporu, bezwiednie czy świadomie, pociągając, koncentrować i zamykać całej myśli i uczucia ogółu i tym sposobem odwracać jego uwagi od innych, nie tak prostych zapewne i czystych, owszem —

bariki pokolenia naszego i wieczystą jego odpowiedzialność.

Uczucie odpowiedzialności, szczególnie w trudnych chwilach dziejowych, jest sprężyną obowiązku obywatela a tem samem zdrowej woli narodu. Uspić to uczucie w takiej chwili, to znaczy podciąć ową sprężynę, uprawnąć bezład, bezwolę, niewolę. Różne są sposoby osłabienia odpowiedzialności publicznej, a najpiętszym — samochwalstwo zbiorowe. Jeśli biedne społeczeństwo nasze dziś jedni samą poją złością, głuźną wrzaskiem o „nikczemności” stolicy albo całej dzielnicy polskiej, inni znów samym karni je miodem, tumanią kadzidłem. Wciąż sute dostają się pochwały Królestwu, Wielkopolsce, Galicji, za różne zalety, bądź za dobroczynność, bądź za „rozumienie konieczności państwowych”, t.j. sprawną mobilizację trójdzielną, za „rozważność”, „trzeźwość”, „dojrzałość”, a najgłośniejsze podobno za bierność polityczną. Wciąż kładzie się w uszy rodakom: jesteście hojni, mądry, wielcy, rzetelnie i nadal groź ubogim, słuchajcie władz przełożonych, załatwiajcie interesa wasze i spijcie snem sprawiedliwego. To się podoba i wpływa. Jest to jedna z postaci demagogii, zawsze szkodliwa, dziś zgubna; rzekomo podnosząc ducha, naprawdę obniża go; nie dogadza narodowi, lecz pochlebia obecnemu pokoleniu.

Naród jest to co było, jest i będzie. Pokolenie dzisiejsze — nie naród, tylko społecznik, czasowy zastępca i sługa narodu. W stanowczej chwili obecnej winno górnę wystąpić pojęcie wielkości narodu polskiego, jego spraw i zadań nieprzedawnionych. Zaś generacja nasza winna w takiej chwili z ofiarną pokorą swe ciężkie dźwignąć powołanie. Tej generacji nie należy zniechęcać, nie żądać od niej rzeczy niemożliwych, uwzględnić słabość ludzką, twardość faktycznych warunków i minionych doświadczeń; ale też dobyć z niej wszystko, co czego ona zdolna, oćnić zastęglą w niej teżyżnę i niezniszczalną tradycję wyskokiego lotu. W tem połączeniu tkwi szkatka okolicznościach obecnych i wykresami zła naprawdę woli narodowej. Naród chce, nie może nie chce tego, co każdemu wielkiemu należy się ludowi, co jeszcze wcale nie jest szczęściem, lecz dopiero pierwotnym do szczęścia warunkiem: zespolenia, swobody, udzielności. Polska będzie z tym, kto do tego wyższego celu najbliższej ją dopuści, a przeciw temu, kto najdalej od niego trzyma ją zechce. Wynik wojny obecnej będzie dla Polski wypadkową ważących się potęg mocearstwowych oraz własnych dążeń naszych. Nie będzie zapewne całą wola naszą i znaczenie od niej się odchyli; ale dla zmniejszenia odchylenia, niechajże ona przynajmniej do dźwigni międzynarodowej przylży się jak najwyższym zasobem własnej energii. Niechaj taka wola narodowa jak najścisłej wypromieni na wewnątrz, rozpyloną społeczność naszą magnetycznie skupi, pochylone sprostuje grzbiety, serca spadłe do brzucha i pięć pociągnie ku głowie, dobedzie z ukrycia wszelkie celne wartości obywatelskie, wszystkich chowających się lud bocejących ludzi prawych, rozumnych, narodowo możnych, do rady, reprezentacji, czynu, do postawienia się, a jeśli trzeba, i wystawienia, za Polskę. A wtedy i na zewnątrz wypromieni, obecnym nakaza szacunek, w ich rachubę wejdzie, odrodzenie narodu przysposobi i ulatwi, wola polska.

Montreux, w grudniu 1915.

SZYMON ASKENAZY.

BOHDAN ZALESKI

Dąb namagilny

Dąb — kosciotrup mszysty, głuchy,
Rozmachuje tam konary;
Zażegnany wrócił stary
Wycia groźnej zawieruchy.

Wokoł dębu-kosciotrupa,
Stęp zawodzi w dzikie świsły:
Od słów niby płaszcz falisty
Śmiga w górę liści kupa.

Wieszczy dębie, równienniku,
Stójmy krzepko śród zamieci:
Śród nagabań zmór stuleci —
Błogosławmy z mogilkami!

Inseć — miłsze czasy pomnę,
Gdym tu — przedząc mgłę cieniuchną,
W dloni dłoń z Rusalką-druchną
Biegł w ramiona twe ogromne.

Zielenieś się ty cały,
Płaszcz gniazd kołosał krocie,
Gościł orły w tawny namiocie,
Kiedy z bojów powracali.

W cieniu twoim w oną wiosnę,
Piewca konnej ojcowi sławy,
Ku Dnieprowi — w ślip kurzu
Stale „Ura! Ura!” — głosne.

W rozspiewaniu serca miłem
Wijac wodzom codziem wianek,
Ileż, ile dum, wiośnianek,
W cieniu twoim nie wysnilem?

Z tobą zawady — wieczór — rano —
Jako prątki w latorośli,
Ciemni my się obaj zrosli —
Dąb i piewce „brachi!” zwano.

Aż niebawem — och! znienacka
Zaszmucił gradobicia:
Wypłoszył mnie z ukrycia
Dola — dola moja laska.

Odtąd w świat. — I dalej! dalej!
Mknijcie wody bradem razem,
Nim brat z bratem się polączył!
Huczcze gromy! Burzo szalej!

Nachłanił od pioruna
I ten bełkoczący — set tysięcy
Próchnem teraz świecić w rdzeniu.

Dwaj rodzeni — dwaj rówieśni —
Zamieramy w chmur calunie;
Jeszcze jeden piorun runie
I ni śladu nas — krom w pieśni!

BOHDAN ZALESKI

GUSTAW DANIŁOWSKI

Topola

Przy cmentarzu, nad rzeką, jak warta,
Stróżując zapadłym mogiłom,
Piorunami topola rozdarła
Przeziwstawa niszczącym burz siłom

A gdy szara godzina uderzy,
Za cmentarzem przyczyna się parów,
Nad grobami uśpionych rycerzy,
I zadaje szelestem konarów

Wówczas każdy grób wdręga się darna
I z łoskotem się głębiej zawała,
Bo je pyta swą całą meczarnią
I tym gromem, co wciąż się zapala

Lecz odpowiedź nie zlati się w próchnie
Mogil wrosłych w dżdżu krowawym, w lee
Póty, póki pożarem nie buchnie
Święty ogień, co zagasi na stosie

Milczy cmentarz pęsepnny i głuchy,
Jeden wicher w nim ciszę zamąca,
Co topoli rozdarłej pięt suchy
Swym szalonym podmuchem potraça

I z wściekłością galezie obrywa
I unoszą daleko na pole;
A topola tak jęczy, jak żywa,
I bolesna, wiekoma swą dolę

Pod nią rzeka spieniona i mętna
W mgły oparach się wije, jak w dymie,
Słychać westchnień ogromnych jej tępna
I kłębiące się w piersiach obrzymie

A nad wszystkim się zwiesza żalostnie
Noc i niby samotna dziewczyna,
Co tka szczychem caluny na krosnie,
W mroczne niebo złogłów gwiazd wpina,
jak w kiry.

GUSTAW DANIŁOWSKI